

NARODZINY

Kiedy rodziłam dziecko
 W głos się wielki modliłam:
 Zdrowaś Mariol
 Łaskiś Peinal
 Matko!
 Oto człowiek się rodzi
 Błądny wśród planet brodzi
 Moje ciało mu do Ciebie kładka...

Słowa we krwi nurzałam
 W Twe serce przelewałam
 Pan z Tobą!
 A ze mną ból zwierzęcy
 I księżyce i tęcze
 Pod nogą...

Gdzieś u szczytu cierpienia
 Zetknęły się spojrzenia
 Mnie — niegodnej
 i Twoje
 Świecąca!
 I spłynełam jak okręt
 W Twoje ręce roztopne
 Wyciągnięte nad kręgiem miesiąca...

Notatnik polityczny

Traktat państwowy z Austrią

JEDNYM z najłatwiejszych do załatwienia problemów na konferencji czterech mocarstw w Berlinie zdawała się być sprawa traktatu państwowego z Austrią. Jednakże i w tym wypadku mocarstwa zachodnie nie dopuściły do oczekiwanego przez naród austriacki rozwiązania. Aby zrozumieć stanowisko min. Molotowa w Berlinie i brutalne „nie” sekretarza Stanu Dullesa, trzeba przypomnieć sobie, jak zagadnienie to kształtowało się w przeszłości.

Jak wiadomo, stworzone traktatami pokojowymi w Paryżu w 1919 r. suwerenne państwo austriackie zostało przyłączone siłą zbrojną do hitlerowskiej Rzeszy w 1938 r. Podczas II wojny światowej zapadła na konferencji międzysojuszniczej w Moskwie w 1943 r. decyzja przywrócenia suwerenności Austrii, będąca wyrazem woli uczestników koalicji antyfaszystowskiej niedopuszczenia do odrodzenia się imperializmu hitlerowskiego. Uchwały moskiewskie zostały potwierdzone na konferencji poczdamskiej 1945 r.

Rezultatem ich było powołanie w 1945 r. parlamentu i rządu austriackiego, dla dopilnowania jednak denazyfikacji i demokratyzacji Austrii utrzymano do czasu zawarcia formalnego traktatu państwowego z Austrią okupację tego kraju przez cztery mocarstwa. Chwilowo rząd austriacki poddany został pod kontrolę Rady Międzysojuszniczej w Wiedniu, która ma pilnować wypełnienia resztek hitlerizmu oraz niedopuszczenia do podejmowania przez rząd austriacki polityki sprzecznej z interesami 4 mocarstw.

W 1947 r. specjalna konferencja zastępców ministrów spraw zagranicznych przystąpiła do opracowywania projektu traktatu państwowego z Austrią. Po dwóch latach wysiłków projekt został w zasadzie uzgodniony oprócz 5 punktów, nie stanowiących jednak trudniejszych do przebycia przeszkody. Atoll od 1949 r., pomimo wszystkich wysiłków strony radzieckiej, nie udało się pchnąć sprawy naprzód. Powodów tego szukać należy w tym, że problem austriacki, będący sprawą samą w sobie, łączy się pośrednio z problemem ogólnoniemieckim i z polityką „atlantycką” Stanów Zjednoczonych, a z drugiej strony — również z zawartym już traktatem pokojowym z Włochami, a to poprzez sprawę Triestu.

Od czasu przejścia Stanów Zjednoczonych do polityki jawnie agresywnej, wyrażającej się w stworzeniu Bloku Atlantyckiego, rozbudowie sieci baz strategicznych, okrążających Związek Radziecki i kraje demokracji ludowej oraz odradzaniu militarysty zachodnio-niemieckiego, jako trzonu ofensywnej armii europejskiej, dyplomacja i sztab amerykański zaczęły patrzeć innymi już oczami na problem austriacki. Zniesienie wspólnej okupacji wojskowej Austrii traktują oni jako punkt wyjścia dla wciągnięcia Austrii do polityki atlantyckiej i rozszerzenia tworzonych już tam baz strategicznych na pogranicze Czechosłowacji i Węgier. Poza tym opierając się w Niemczech zachodnich na odwołanie do reprezentowanych przez rząd Adenauera, patrzy w gruncie rzeczy przychylnie na stawiany dość wyraźnie postulat ponowienia anshlusu w takiej czy innej formie.

W tych warunkach dyplomacja amerykańska nie życzyła sobie traktatu państwowego z Austrią, który by ją chronił od zakusów zachodniomemieckich i od wykorzystywania jej terytorium jako bazy wypadowej. Mając swe cele na widoku sabotowała finalizowanie traktatu, a w 1951 r. wysunęła projekt (zw. małego traktatu bez udziału ZSRR, mającego umożliwić wciągnięcie Austrii do polityki atlantyckiej. Dopiero zmuszona przez opinię publiczną do zgody na udział w Konferencji Czterech, wycofała ona w listopadzie roku zeszłego ten projekt.

Ze sprawą Triestu problem austriacki wiąże się przez przewidziane stworzenie wolnego obszaru i portu, który miał m. in. obsługiwać również nie posiadającą dostępu do morza Austrię. Perypetie sprawy Triestu są dostatecznie znane, podkreślić jednak należy, że stanowcza odmowa Stanów Zjednoczonych rozpatrzenia na Radzie Bezpieczeństwa wniosku radzieckiego o wprowadzenie w życie postanowień co do wolnego obszaru Triestu, podkryta jest m. in. również chęcią maksymalnego uzależnienia państwa austriackiego od Amerykanów.

Na tle powyższego zrozumieliśmy stają się propozycje ministra Molotowa. Gotów on był podpisać natychmiast traktat z Austrią, dla umożliwienia jednak jakiegokolwiek wykorzystywania Austrii w celach wojennych, domagał się wyraźnego sprecyzowania, że rząd austriacki nie będzie przystępował do żadnego bloku politycznego wymierzonego przeciwko jednemu z wielkich mocarstw. Stwierdzając, że okupacja Austrii zostanie zakończona z chwilą wejścia w życie traktatu państwowego, postawił Molotow wniosek, aby do czasu zawarcia traktatu pokojowego z Niemcami i załatwienia w związku z tym problemem bezpieczeństwa Europy, siły wojskowe mocarstw miały pozostać na terenie Austrii (poza Wiedniem), bez prawa jednak ingerowania do spraw wewnętrznych kraju i ograniczania jego suwerenności.

Na wszystkie argumenty Molotowa, zbijające tendencyjne i demagogiczne twierdzenia Dullesa i popierających go dwóch pozostałych ministrów zachodnich, przedstawicieli Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Francji, nie znajdujące argumentów, odpowiadali ponawianiem słowa „no”. Sprawa traktatu państwowego z Austrią nie została załatwiona w Berlinie, ale jak i w innych problemach drzwi do dalszych rokowań nie zostały zatrzaśnięte. Mogą one być kontynuowane zarówno na terenie Rady Kontroli w Wiedniu, jak i na drodze dyplomatycznej. Stanowisko Związku Radzieckiego jest tak logiczne i zrozumiałe jak niemiłej odpowiedzią kalkulek interesom narodu austriackiego, że tylko zacietrzewienie dyplomacji amerykańskiej, widzące w nim pokrzyżowanie swych planów wojennych, może uniemożliwić załatwienie sprawy na tej jedynie słusznej drodze.

s. d.

ZBLIŻAJĄCY się Międzynarodowy Dzień Kobiet odświeżył w mojej pamięci to miłe spotkanie.

Było to w czerwcu ubiegłego roku. Po długotrwałych majowych chłodach ustąpiła się piękna pogoda. Niebo czyste, błękitne takim odcieniem błękitu, jaki bywa tylko w wiosennym czasie. Powietrze pachnące świeżością i rosa.

Zaprzęgnęłam nagle poczuć wiosnę, zobaczyć jej urok. Dawno już nie byłam w Ogrodzie Botanicznym... Czy w tym roku są tam również tak piękne okazy irysów?

Gdy wsiadałam do autobusu jadącego w kierunku Alei zwróciła moją uwagę młoda dziewczyna - Chinka. Zwróciła moją uwagę, bo mimo że nie jest obecnie niczym niezwykłym widzieć obywatela innej narodowości w Warszawie, to jednak egzotyczna uroda zacięka.

Dziewczyna była śniada, o szerokiej z wystającymi kośćmi policzkowymi twarzy, o czarnych, poważnych oczach i gładko przyczesanych włosach.

Cel naszej podróży okazał się ten sam. Szłam za nią i obserwując miłą sylwetkę o sprężystym kroku, myślałam, że jeszcze przecież niedawno nogi „małych Chinek” zgodnie z rytuałem i wymogami „piękności” były tak zniekształcone. Nawet radosne, jeśli miały po temu warunki, dziewczynki zamieniały się w martwo siedzące biedne istoty, unieruchomione przez ściągnięcie palców stóp do pięty bandażem.

Była godzina przedpołudniowa. Robotnicy pracowali pochyleni nad rabatami, wyrwijając chwasty. Przeszłam kilka alejek szukając irysów.

Naprzeciwko malej fontanny i alei wysadzonej irysami zobaczyłam moją Chinkę z autobusu. Siedziała na ocienionej drzewem ławce i w otwartym zeszytce robiła jakieś notatki.

Miałam stąd bardzo ładny widok na kwiaty. Lekki powiew wiatru przynosił fałę kropelek wody z bijącej fontanny. Usiadłam i poddałam twarz chłodnemu powiewowi. Od czasu do czasu ciszę przerywał to dźwięk łopaty, to znów zgrzyt łatek nawożących ziemię.

Było mi dobrze. Odchyliłam głowę na poręcz ławki i zapatrzyłam się w fantastycznie powyginane o niebywałych wprost kolorach kwiaty. Co za kombinacje! Ile lat potrzeba, żeby wyhodować coś takiego? Jakże to tłumaczył mi stary ogrodnik, miłośnik kwiatów, w zeszłym roku...

Wtem gałąź nad ławką gwałtownie zafalowała i jakiś ptak zaniósł się krótkim trelem.

I był on łącznikiem między mną a Chinką. Usta Chiniki rozchyliły się młodym śmiechem. Było coś tak niezwykłego i buńczuczne w tym wtargnięciu między nas spiewaka — rozśmiała się również.

I bez trudu potoczyły się słowa.

Młoda chińska dziewczyna, studentką na Uniwersytecie Warszawskim, nazywała się, o ile się nie mylę, Li-Yu-ying.

*

O tak, dobrze mi w waszym gościnnym kraju — odrzekła — a do ogrodu tego przychodzi często. W maju, gdy kwitły tu bzy, przypominały mi bardzo mój kraj, Chiny. — U nas na wiosnę krzewy również osypane są kwieciami bzu i... magnolii.

O, dzisiejsze Chiny — e są zupeł-

nie podobne do dawnych „starych Chin”. Te prastare Chiny, o tak wielkiej kulturze i bogactwie i takim jednocześnie zacofaniu i biedzie — to już daleko poza nami.

— Pokolenie moje jest szczęśliwe. Zerwałam pęta, wiemy czego chcę, wiemy ile możemy otzumać...

Twarz jej zasnęła się cieniem. — Od najwcześniejszego dzieciństwa pamiętam lepienie, w której mieszkaliśmy, z klepiskiem z ziemi i ścianach z gliny i błota... Matka moja umarła z głodu. Kupując sobie żonę, bo taki był zwyczaj — ojciec

ci męża, musi być posłuszna synowi.

Teraz, teraz skończyło się to wszystko, są inne prawa, idziemy ramie w ramię świadome i z przywrocną godnością ludzka.

Nowe, obecne prawo małżeńskie mówi: „Naszą zdobyczą jest związek małżeński nie mający nic wspólnego z pieniędzmi. Każdy poślubia tego, kto drogi jest jego sercu” — zakończyła miękko Li-Yu-ying. Jej ciemna twarz zaróżowiła się. Chłirczy się są tak dyskretni, czy wypada mi zapytać o powód rumienia.

Li zawałowała się...

haju na przykład buduje się dziesiątki tysięcy nowoczesnych domów, w Kantonie tysiące robotników mieszka już w nowowbudowanych domach, wiele robotniczych, mieszkalnych bloków buduje się w Sze-nyang i wiele, wiele, wiele jeszcze, a przy wznoszeniu tych domów pracują również kobiety. Kobiety są zresztą wszędzie. I w sejmie, na wszystkich szczeblach państwowych, biorą czynny udział w walce o pokój...

— A nasze dzieci, bo dzieci będziemy mieć! Wychowamy je już zupełnie inaczej. Damy im tę radość, którą



mój tak się zadłużył swemu paru, że nędza nigdy nie mogła nas opuścić. Nie mogąc wyżyć całej rodziny sprzedał mnie obszarom, tak zresztą czyniło wiele, wiele rodzin biedaków. Trudno mi jest teraz pojąć, jak wiele pracowałam. Używano mnie do najcięższych robót. Razy kija bambusowego spadały na moje ciało. A przecież miałam za ledwie 10 lat. Siostrę moją spotkał jeszcze gorszy los — kupił ją „pan”, którego żona nie mogła mieć synów — dla rodzenia ich. Nikt tego nie uważał za krzywdę... dziesiątki, setki lat tak wszystkie kobiety z ludu... Teraz, gdy patrzę, jak radośnie umieją się śmiać dzieci, myślę o swoim dzieciństwie — ja nie wiedziałam nawet, że można się śmiać...

Stare prawo zwyczajowe głosiło, że kobiety obowiązują trzy rodzaje posłuszeństwa: Kobieta winna „przed małżeństwem słuchać ojca, po małżeństwie — męża, a w razie śmier-

—Znaliśmy się z widzenia w Pekinie, ale Wang Tsing-shan mijając mnie na ulicy odwracał głowę, a ja musiałam ją spuszczać także. A potem spotkałam Wangę w szpitalu polowym podczas walk o wyzwolenie pod Czinczou.

Ciężka była praca pielęgniarki. Szpital przenoszono i organizowano przeważnie na odcinkach po przejściu frontu. Zabudowania były przeważnie zrównane z ziemią, pełne lei od artylerii i bomb Trzeba było gołymi dłońmi wznosić z porozbijanych domów pomieszczenia dla rannych.

Promień słońca padł ukośnie poprzez liście drzew i osiadł na ciemnych oczach Chiniki.

Tam właśnie, w tym szpitalu, zrozumieli z Wangiem, że życie ich należy do siebie. Ze przyszło nowe życie, inne czasy. Teraz Wang jest w kraju... czeka na nią... po studiach pojedzie. Wang buduje domy. O, tam jest już tyle zrobione — w Szang-

nam zabrano. Damy im dzieciństwo pełne radości i śmiechu. Tyle robi się w naszym państwie dla nich. Matki chińskie są teraz spokojne o swe dzieci, mogą ufnie patrzeć w przyszłość swych córek.

Li-Yu-ying usmiechnęła się kłiwie... będzie miała córki. Odebrany w dzieciństwie uśmiech wrócił. Będzie miała swój dom. Będzie mieszkała w nim z Wang-Tsing-shanem wywołana i szczęśliwa, świadoma dzieł, które nad nią przeszły. Będzie czuwała. Szczęście — jak magnolie i bzy będzie kwitło w jej domu.

*

WOLNO wracam w zamyśleniu mnąg zerwany listek bzu. Jak biegunowo zmienił się los kobiety chińskiej. Jak kapitalnie zmieniła się jej psychika. Prawa obejmująca opieką kobietę chińską zmieniły jej życie od kolebki aż po grób — a ona im spaść umiała.

TOMASZ ZANIEC

MIT O ALEKSANDRZE WIELOPOLSKIM (III)

V.

W polityce wewnętrznej Wielopolski znalazł się na tym samym zachowawczym wozie, co partia białych; odnosił się z zimną obojętnością dla sprawy przebudowy społecznej wsi, t.j. zniesienia pańszczyzny, i nie dostrzegał powstających nowych warstw miejskich.

Gdy Wielopolscy i Zamojscy zmuszeni uwłaszczeniem w Rosji w 1861 r. stworzyli koncepcję zniesienia pańszczyzny za zapłatą czynszu przez chłopą, przy pozostawieniu folwarków wzbogaconych najlepszą częścią działek chłopskich w ręku szlachty — wtedy kraj domagał się natychmiastowego zniesienia pańszczyzny. W istocie Wielopolscy i Zamojscy stali na straży przekształcenia pańszczyznianych właścicieli ziemskich w odrodzonych kapitalistycznych obszaromów. I tu znaleźli się w konflikcie narodowym z partią czerwoną — z Jarosławem Dąbrowskim, Zygmunt Sierakowskim, Stefanem Bobrowskim, Bronisławem Szwarcem, a później ze zrewolucjonizowanym Romualdem Trauguttem stojącym na czele walczących o równouprawnienie trzech czwartych ludności składającej naród polski i o niepodległość.

Uгода Wielopolskich widziela każdy kompromis z caratem, ale nie uznawała kompromisów z własnym narodem. Choć drogi Wielopolskiego i Zamojskiego miały się rozjeżdżać, to rozejścia tego nie można dziś nazwać inaczej, jak klótnią w rodzinie i manewrem taktycznym.

Wielopolski zadzielał ze wszystkimi: z arcybiskupstwem warszawskim, ze szlachtą, a swymi dyktatorskimi i doktrynerskimi postanowieniami („rządów żadnych w rządy”) Artykuł niniejszy stanowi trzecią część cyklu pt. „Geneza „realizmu” politycznego w Polsce”. — drukowanego w Nr 4 (428) i 9 (431).

rodowego z sierpnia 1862 r. mówiła:

„Trzeba nowej komedii dla Europy: następcy się Polak - zdradca i kat ojczyzny swojej, który podjął się odgrywania tej komedii, a car dodaje mu do pomocy godnego syna Mikołaja... Oni to przynioszą łaski, ustępstwa i reformy, wyższe klasy w narodzie uspokoją się tytułami i urzędami, a dla narodu — Sybir i szubienica... Ta komedia odgrywa się dla czwartej części narodu, reszcie nie wolno się odezwać i Aleksander mówi Europie: Cóż chcecie? Polska ma reformy...”

Nienawisć Wielopolskiego do „nikczemników i wyrzutków społeczeństwa”, za jakich miał rewolucjonistów, starczyła mu za szczebel do władzy, bo zalecała go rządowi. Pyszałek, widzący podstawę do dumy w tym, że „szlachcic polski umawiał się jak równy z równym, z carem”, z maniakalnym uporem ciągnął za uszy szlachtę na piedestał reformatora i odrodziciela kraju. Gardząc czynami „ulicy”, nie tylko Chłódz on utrwalił moralną dyktaturę szlachty w narodzie polskim, ale przede wszystkim uratował walący się w gruzy ustrój feudalny wsi. Odwoływał się do posiadaczy ziemskich. Tymczasem szlachta sama, tkwiąc w analibazymie duchowym, nie miała danych, ani nawet ochoty, do odegrania roli własnego grabarza i stopniowo włączała się — idąc za instynktem samoobrony — do organizowania nowych warstw społecznych w ustroju kapitalizmu przemysłowego.

VII.

W KRÓTKCE po aresztowaniu Jarosława Dąbrowskiego, dnia 1 września 1862 r., Centralny Komitet Narodowy ogłosił, że odtąd „popieranie rządu moskiewskiego i bronienie go będzie uważane i sądzone jako zdrada kraju, zaś tylko te rozporządzenia mogą być tolerowane i przeprowadzane, które dozwolą Centralny Komitet Narodowy”. Akt ten stanowił wypowiedzenie wojny naczelnikowi Rządu Cy-

VIII.

REALIZM polityczny” Wielopolskiego znajdował potępienie w opinii Czerwonych nie tylko dla środków użytych, ale dla celu, do którego zmierzal.

Jeden z najinteligentniejszych członków Komitetu Centralnego Czerwonych, inż. Bronisław Szwarc, po 30-letnim odciśnięciu wężenia w „kamiennym worku” Szielsburga i dalszego wygnania, wyk-

PODSTAWOWE PRZEŻYCIE RELIGIJNE

1. **P**OJĘCIE religii jako osobistego kontaktu z Bogiem jest głęboką prawdą, ale prawdą zanadto ogólną. O religii stanowi żywe odniesienie się do jedynej w swoim rodzaju istoty, jaką jest Bóg. Ale ponieważ Istota ta jest jedyna, to i kontakt z nią jest jedyny w swoim rodzaju, tworzy odrębną dziedzinę życia, nie dającą się sprowadzić i wyjaśnić żadnym czynnikiem z tych, które znamy poza religią.

Istota Boża stanowi rzeczywistość odbiegającą radykalnie od wszystkiego, z czym stykamy się na świecie. W normalnym naszym ziemskim życiu nawiązujemy bezpośredni kontakt z rzeczami, ludźmi i ideami.

R z e c z y — wliczając w to i istoty żywe niższe od człowieka — traktujemy z jednej strony jako środowisko, warunki, które umożliwiają nam życie, od których jesteśmy zależni w naszym istnieniu; z drugiej zaś strony jako środki, narzędzia wykorzystywane przez nas dla wzbogacenia własnego życia.

W ludziach widzimy współtowarzyszy, z którymi współżycie polega na wzajemnym oddawaniu usług, dzieleniu uczuć i myśli.

Wobec idei, myśli, prawd, sytuacja nasza jest trudniejsza od analizy. Pierwotnie idee służą nam do życia praktycznego. Ale już bardzo wcześnie (zarówno w rozwoju historycznym jak i indywidualnym) poznaje nasze zaczyna obejmować wiadomości nie mające konkretnego pożytku, których jedyną racją bytu jest zaspokajanie bezinteresownego pędu do prawdy. W każdym razie czujemy i jesteśmy tego pewni, że idee nie mają bytu samodzielnego, obiektywnego, że nie istnieją w ten sposób, jak istnieją ja, drugi człowiek, czy też pokój, w którym obaj się znajdujemy.

2. **G**DY teraz odrywam myśl od tej potrójnej rzeczywistości i stawiam się wobec Boga, to nagle zawiądom wszystkie pojęcia, jakie żywałem w kontakcie z rzeczami, ludźmi i ideami. W istocie Bożej wyczuwam coś wspólnego z każdą z trzech dziedzin, ale podobieństwa błędna wobec przepastnej odrębności.

a) Bóg jawi się jako byt niezależny ode mnie, a od którego ja jestem zależny. Jeśli to nasuwałoby myśl o podobieństwie do świata materialnego, świata rzeczy, to jednak myśl wzdryga się przed takim zestawieniem: zależność moja od świata jest całkowicie innego rodzaju niż zależność od Boga. Jest względna i zewnętrzna; mogę się czuć wyższym od świata, czuć się

pięknym później we Lwowie przez środowisko Ścianczyków, pisze w 1894 r.

Co by było... „Gdyby się plan Wielopolskiego udał, gdyby Aleksander II był na tyle mądry, że dałby jeszcze większe reformy, nawet zupełną konstytucję, auto-nomię kongresową i wojsko polskie, jak po r. 1815?

Mielibyśmy znów królestwo konstytucyjne o 5 milionach mieszkańców opok caratu liczącemu 80 milionów poddanych i własnymi rękami pracowalibyśmy dla wzmocnienia caratu, który by się już troszczyć nie potrzebował o swoje zachodnie granice... Gdyby się naród stał, jak chciał Wielopolski, wiernym carskim sługą, nastąpiłoby powolne zamieranie polskości przy pomocy polskich szkół, polskich urzędników, polskiego kościoła i polskiego wojska, któremu to zamieraniu wtórowałoby niemieckie zaboru austriackiego i pruskiego, a w najlepszym razie wstąpienie ich mieszkancom na taką samą lojalną drogę albo dążenie ich do zlania się z caratem... Takie byłyby niemyślne wyniki zwycięstwa tego wielkiego męża stanu...”

Szwarcie widzi ogromne znaczenie potępienia w tym czasie w zam-buł romantyzmu. Romantyzm ten rozwiął ostatnie zrudzenia co do drogi imperializmu carskiego.

ZNACZENIE Wielopolskiego gasta wraz z powstaniem. Margrabia stał się uciążliwym wręcz dla cara. 14 lipca 1863 r. opuszcza Wielopolski w czarnej melancholii. Pol-ski na zawsze, aby w Dreźnie — skę na zawsze, aby w Dreźnie — bójstwa w 1866 r. — zakończyć ży-cie dopiero 30 grudnia 1877 roku.

Żył jeszcze fizycznie, kiedy zna-lazł swych naśladowców. Został uznany za ojca kierunku „realizmu politycznego”, zwalczającego zaciek-łe „romantyzm powstaniowy”.

Tomaz Zaniec

ową trzciną myślącą z porównania Paacala, którą swąat może zmiądzzyć bez wysiłku. „ale nawet gdyby świat go zmiądzzył, człowiek byłby i tak czymś szlachetniejszym niż to, co go zabija, ponieważ wie, że umiera, i zna przewagę, którą wszechświat ma nad nim.” Zależność od Boga jest podległością absolutną wobec istoty nieskończenie wyższej.

Z różnicy istnienia płynie różny sposób kontaktu. Z Bogiem nie stykam się tak, jak z rzeczami. Zmysły ani instrumenty nie informują o Nim. Do Boga nie mogę się odnieść jak do rzeczy — On nie jest nigdy środkiem, którego mógłbym użyć do moich celów. Wiem niemyślnie, że każda próba „prawowania się” z Nim zakończyłaby się nie tylko tragiczną porażką, ale nado-piżnizłaby, zhańbiła mnie samego.

b) Bóg jawi się jako byt posiadający rozum i wolę, to znaczy byt analogiczny do ludzi. Ale rozum i wola, osobowość ludzka, jest tylko słabym cieniem tego, co stanowi osobowość Bożą. Najbardziej ludzką stroną osobowości stanowi ograniczenie, niepełność, niesamodzielną poszczególnego człowieka, tak że pełnię swego życia może uzyskać jedynie w społecznym współżyciu. Osobowość Boża nie tylko jest pełna i doskonała sama w sobie, nie potrzebując usług i wzajemności, ale nawet jest tak pełna, że nic do Niej dodać się nie da. Nie ma więc mowy o zrównaniu człowieka z Bogiem. Choćbym się silił, nie mogę nawet w myśli postawić siebie na równym poziomie z Nim.

Dlatego kontakt z Bogiem nie jest podobny do obcowania z ludźmi. Brak obcowania zmysłowego jest tu tylko najbardziej zewnętrzną różnicą. Odrębność istotną stanowi różnica poziomu istnienia, która sprawia, że do Boga mogę tylko podnosić oczy i dionie, oczekiwać od Niego darów, oddawać Mu czerpiąc z Jego łaski.

c) W styczności z Bogiem nie biora rzucał zmysły lecz wyłącznie strona duchowa. W podobny sposób jest dany świat idei. Ale idee istnieją w naszej myśli, istnieją przez to właśnie, że są pomyślane. Trudno nam nawet pojąć, w jaki sposób im samym można przypisać istnienie, w każdym razie nie jest to istnienie pełne, samodzielne. Tymczasem Bóg jest bytem najbardziej rzeczywistym, samodzielnym, bardziej realnie istniejącym, niż ja sam i rzeczy dokoła mnie.

Stosunek człowieka do idei jest odniesieniem czysto intelektualnym: poznajemy je — i to wszystko. Zdarza się wprawdzie mówić, że kochamy idee, że idea pomaga nam — ale są to zwroty przenośne. Kochamy nie idee, lecz rzeczywistość wyrażoną przez idee; pożyteczne są nie idee, lecz rzeczywistość poznana w zwierciadle idei. Stosunek do Boga zaś jest zawsze stosunkiem do rzeczywistości. Bóg to Istota istniejąca, której nie możemy tylko na chłodno poznawać bez zajęcia wobec niej stosunku.

3. **A** więc pierwsza próba rozwiązania mego ludzkiego kontaktu z Bogiem zdaje się wprowadzać w zakłopotanie: Boga nie można zrównać z niczym poza Nim samym, a kontakt z Nim nie da się zamknąć w ramy żadnej ze znanych mi poza religią dziedzin życia. Stoję po prostu wobec swobodnej Istoty i zajmuję wobec Niej swobodny stosunek.

Zakłopotanie to nie jest niepoko-jem, wolne jest od gorączkowego zniecierpliwienia, niepewności, miotania się. Ja wiem dobrze wyczu-ciem, jakie jest moje odniesienie do Boga. Może mi brakować pojęć i słów do wyrażenia całej głębi przeżycia, ale fakt pozostaje nie naruszony: Bóg jest i ja Go przeży-wam.

Jakiego rodzaju jest to przeżycie, w czym upatrywać jego najbliższe jądro?

Współczesna filozofia religii widzi je w przeżyciu Boga jako wartości i to wartości swoistego rodzaju: wartości świętości.

a) W a r t o ś ć — to jedno z pojęć filozofii najbardziej fundamentalnych, a przez to najtrudniejszych do określenia, choć jego znaczenie jest każdemu zrozumiałe. Pojęcie wartości łączy się nierozdzielnie z najgłębszym i najpoważniejszym pytaniem człowieczym: czy świat,

czy życie ludzkie ma sens? Sens jest związany z wartością. To posiada sens, co służy urzeczywistnieniu wartości. Życie ma sens, jeśli posiada wartość, jeśli prowadzi do urzeczywistnienia wartości.

Dwie prawdy dotyczące wartości są szczególnie ważne: że wartości są czymś obiektywnym — i że istnieją wartości różnych rodzajów, wśród których odrębne miejsce zajmują wartości religijne.

Wartości są o b i e k t y w n e w tym znaczeniu, że są one cechami przedmiotów, istniejącymi niezależnie od nas. Wartości nie zależą od naszego kaprysu, lecz domagają się uznania jako istniejące. Ta obiektywność jest szczególnie widoczna przy wartości prawdy i dobra. Należy sformułowane i udowodnione twierdzenie matematyki czy fizyki jest prawdziwe, a nie tylko się wydaje. Miłość bliźniego jest dobra, nie stanowi tylko dowolnego nakazu prawnego.

Wartości mogą być podzielone na rodzaje: na materialne i duchowe, duchowe zaś z kolei dzielą się na logiczne (prawda), moralne (dobra), estetyczne (piękno) i religijne (świętość).

b) Świętość jest wartością swoistego rodzaju, której nie można wytłumaczyć i określić przez prawdę, dobro ani piękno. W przeżyciu religijnym pojawia się w świadomości człowieka coś nowego, odrębnego od przeżycia poznawczego, etycznych czy estetycznych. Odrębność świętości wobec innych wartości nie wymaga dowodu, bo daje się stwierdzić w bezpośrednim doświadczeniu. „Prawdziwa teoria, genialne dzieło sztuki, podziwu godny czyn etyczny nie wywołują bynajmniej urażenia świętością” (Hessen). Podobnie w oświeceniu ludzkiej jasno i wyraźnie odróżniamy mędrca, geniusza artystycznego, sprawiedliwego od człowieka świętego.

Wartość religijna, wartość świętości, różni się od innych rodzajów wartości swą treścią wewnętrzną: ta treść jest „nieziemiska” — nie posiada żadnej analogii wśród wartości tego świata, nawet najwyż-

szych wartości duchowych. Na wyrażenie jej język znajduje tylko jedno stosowne słowo: boskość.

c) Tu zbliżamy się do sedna zagadnienia. Wartość świętości nie tylko jest odrębna od trzech pozostałych wartości duchowych, tak jak one są odrębne między sobą. Świętość różni się od tych wartości przede wszystkim tym, że jest zarazem b o s k o ś c i ą, to znaczy rzeczywistością i to rzeczywistością ponadświatową.

Prawda, dobro i piękno, to wartości realne, ale nieistniejące samodzielnie. Świętość natomiast jest bytem w najwyższym stopniu realnym — ens realissimum. Jest wartością i rzeczywistością zarazem — jest bóstwem, Bogiem.

Ta rzeczywistość boska jest ponadświatowa, istotowo różna od świata, od wszystkich światowych rzeczy, osób i idei — jak to ustaliliśmy na początku. Świętość uosobiona, boskość, jest niewspółmierna ze światem.

Ponadświatowa rzeczywistość boska nie jest izolowana od człowieka, ale działa na niego, pociągając do siebie.

W przeżyciu religijnym na dalszy plan odsuwa się własne działanie, dominuje postawa bierna. „Wszystko jest łaską” — mówi Bernanos przez usta umierającego wiejskiego proboszcza. Wszystko jest łaską — wobec wartości Bożej odczuwam wszystkie swoje wartości jako pochodne, otrzymane, darowane; zarówno samo istnienie, wszystkie jego cechy i zdarzenia, jak i możność podniesienia oczu ku boskości, wartości i źródłu wartości.

Tu tkwi jądro religii, podstawowe przeżycie religijne: kontakt z Bogiem odbywa się jako otrzymywanie łaski od uosobionej wartości najwyższej, boskiej — i odpowiedź na dar łaski realizowaniem świętości we własnym życiu. Bóg, od którego pochodzą, promieniami łaski budzi we mnie życie nowe, które umożliwia mi świadome zwrócenie się do Niego, jako do najwyższej wartości mego życia, jedynej, która nadaje życie prawdziwy, niezatrącalny, absolutny sens.

TRYPTYK W WARCIE



POCZĄTKÓW malarstwa realistycznego w Polsce możemy dostukać się w drugiej połowie w. XV. Wprawdzie kwitnie jeszcze w owym czasie malarstwo cechowe i obowiązuja ustalone przez długiocetni zwyczaj pewne normy konstrukcyjno-techniczne, a normą taką najbardziej dla danego okresu typową jest tryptyk. W wykonaniu tematu obrazu głównego, zazwyczaj sceny z żywota Matki Boskiej, mistrze cechowi holdują jeszcze uzorom dawnym, a więc kompozycji jednopłaszczyznowej, trzymają się też nadal tła złotego, żywych barw. Ale na bocznych skrzydłach — „mniejsz ważnych” — pozwalają sobie na pewne odstępstwa od reguł — na próby znalezienia nowego wyrazu dla budzącej się idei wiernego oddawania odbieranych urażeń. Stąd to na bocznych skrzydłach tryptyków widzimy już jako tło nie płatki złota prawdziwego czy laserunek w tonie złotym, a tony „naturalne”, rdzawe czy brązowe, ukrada się tu też błękit niebios, zieleń prymitywnego pejzażu.

Ku końcowi wieku XV próby podobne widzimy nawet w głównych obrazach tryptyków. Tło złote pozostaje wprawdzie jako obowiązujące nadal, ukrada już tu jednak, bodaj fragmentarycznie, pejzaż, zjawia się też, jako temat, architektura, kościoły wotywnie, zamki, nierzadko miasta całe. Są to czasem fantazje artysty, często jednak wierna dokumentacja obiektów istniejących. Przede wszystkim zaś same oblicza wyobrażanych postaci ludzkich wyzywają się obowiązującej dotąd konwencji hagiograficznej, a więc pewnego banalu, nabierają wyrazu, są niekiedy podobiznami ludzi współczesnych.

Wszystkie te cechy występują przejrzysto w reprodukowanym tu fragmencie obrazu środkowego tryptyka malowanego w r. 1480 przez mistrza Franciszka z Sieradza (szkół Wielkopolska) dla kościoła oo. Bernardynów w Warcie, w dawnym województwie sieradzkim. Zuraca uwagę portretowe ujęcie twarży, zwłaszcza apostołów, a przede wszystkim fragment architektoniczny na tle pejzażu nad otwartym grobem Matki Boskiej oraz inny fragment podobny w części prawej, górnej. Tego rodzaju fragmenty architektury o wielkiej nierzadkości ikonograficznej są często cennymi źródłami dla odtwarzania zniszczonych zabytków przeszłości.

Tryptyk z Warcy, dzieło mistrza polskiego, którego imię znamy, co dla epoki powstania obrazu — wiek XV — jest na ogół rzadkością, oglądać dziś możemy w katedrze we Włocławku.

K.

SPRAWA MŁODZIEŻY

(Notatki z lektury prasy)

dzierzinny mętlak w głowie. — Twierdzi: chłopak z czasów okupacji, jak również o dwa lata odeń młodszą dziewczyną (choć żyje w naszej rzeczywistości) — są typowi. Oboje najbardziej lubią pływać albo tańczyć.

Na szczęście, bądź też niestety — co kto woli — typowe mogą być i są zjawiska krótkoczasowe. Nic dziwnego, że młodzież z Różnicy zareagowała na „Pamiętnik” w ten właśnie sposób, w jaki to uczyniła („Nowa Kultura”, nr 50/194). Zrozumiałe jest oburzenie tych pracowniczych, społecznie aktywnych i ofiarnych uczniów Liceum Instruktorów Świecickich i Teatralnych — oburzenie na bohaterkę „Pamiętnika”. Ze oni są typowi — w to już nikt nie wątpi. Czemu na ogół aprobujemy ich stanowisko — za oczywiste, aby o tym pisać. Skąd się biorą jednak zastrzeżenia? — Ołóż trochę zatrważa fakt, iż młodzież z Różnicy nie umie bodaj teoretycznie pojąć pewnych spraw czy raczej — możliwości istnienia pewnych konfliktów. Da się to zresztą wytłumaczyć małym zróżnicowaniem środowiskowym: uczniowie ci rekrutują się wyłącznie spośród dzieci chłopów i robotników. Ale rodu się obawia, że w konsekwencji takiego, nieco zwięzłego, oceniania rzeczywistości — dostrzeżenie się i uważa za istotne nie wszystkie ze stwarzanych przez życie problemów. Błąd to tym groźniejszy, iż wykryć go można także w starszych — zdawałoby się — doświadczeniach publicystów. Pociągają dopiero słowa Ryszarda Matuszewskiego napisane w bardzo słusznym artykule „Nie tylko literatura...” („Nowa Kultura”, nr 3/199):

„Nonsensem jest (...) stawianie sprawy tak, że istnieje młodzież „nasza” i „nie nasza”, bo młodzież w zasadzie cała powinna być „nasza” i niezależnie od silnych jeszcze często reakcyjnych wpływów środowiska domowego cała jest do zdobycia. Nikogo nie wolno wyrzucić „za burtę”.

Otóż to. Więc na chwilę baczniejszej uwagi zasługują artykuł Mięczyława Kurzyny — „Wobec niektórych spraw młodzieży” („Tygodnik Powszechny”, nr 5/444 z 31 stycznia br.) poświęcony „młodzieży zwichniętej”, „najbardziej potrzebującej wpływu wychowawczego”. Autor wyróżnia czterzy zasadnicze wa-

dy tej właśnie młodzieży: bezideowość i cynizm, oportunistyczny, hedonizm życiowy oraz — słabą wolę i brak ambicji; wnikliwie jej charakteryzuje, stara się wykryć przyczyny zła i wskazać środki zaradcze. Argumentacja Kurzyny jest bardzo przekonująca. Na marginesie tego doskonałego artykułu odnotowujemy: warto by nieco uszczelnienie zanalizować kwestię oportunistów. Nie tylko dom rodzinny ponosi odpowiedzialność za tę zjawiskę postawę sporego odłamu naszej młodzieży. Czyż w równym stopniu nie mogą tu zawinąć często niewłaściwe metody postępowania aktywnie organizującej młodzieży? Czytaliśmy ostatnio — była mowa o ZMP na Uniwersytecie („Nowa Kultura” nr 5) — wypowiedzi stwierdzające i krytykujące fakt, że „niektórzy członkowie ZMP trochę się nawet boją swego aktywu”, nie mają zaufania potrzebne, aby zwrócić się ze swoich — niejednokrotnie uzasadnionych czy chociażby zrozumiałych — wątpliwości. Jeśli tak jest na wyższych uczelniach — o ileż łatwiej nie ustrec się „nadgorliwość” aktywności szkolnych ludziom młodszym? W bardzo wiewlu wypadkach oportunistyczny wywołany taką sytuacją nie jest tylko wynikiem bezideowości i cynizmu; przeciwnie — jest głęboko ustrępnym samym praktykującym go, jest przyjmowanymi wyłącznie w imię zyskania celu — na przykład z przekonania, że tak zwana „dobra opinia” kolegi z zarządu organizacji na terenie szkoły ułatwi dostanie się na wyższe studia.

Wyższe studia, zagadnienia młodzieży akademickiej... Ten sam numer „Nowej Kultury”, w którym czytaliśmy „Pamiętnik uczennicy”, przynosił odważny artykuł Jerzego Adamskiego — „O zwichnięciu dobrej sprawy czyli o humanistyce na uniwersytecie”. Nareszcie głos poważnej krytyki. Studenci — wywozili autor — przeciętni są zajęciami obowiązkowymi, z których ogromna ilość — to przedmioty uboczne, pomocnicze. Brak czasu na studia osobiste. Goty fakt, zwłaszcza jeśli chodzi o humanistykę — przypomina Adamski — nie istnieje; istnieją tylko problemy. Tymczasem tak się dzieje, że problemy niejednokrotnie ustępują miejsca formułkom.

Te i inne babczki pobrzemiewają nie tylko w artykule Adamskiego. Potwierdza ich zasadniczą rację wypowiedź prof. Zdzisława Libery, dziekana Wydz. Filologicznego UW („O naukową atmosferę uczelni”, „Nowa Kultura” nr 3/202); rozważany jest projekt zastąpienia niektórych wykładów kursowych opracowaniem skrypta, mówi się o konieczności — potrochu profesorów do pracy z najmłodszymi zespolami studentów, znajduje poparcie požądane przez młodzież zwiększenie ilości wykładów monograficznych. — Studenckie listy do redakcji „Nowej Kultury” (zamieszczone w numerze cytowanym wyżej) świadczą dowodnie, że młodzież chciałaby się nie tylko uczyć — chciałyby studiować; propozycje zawarte w tych listach są nader rozsądne; pojawiają się nawet skargi na uszczerbek czasowy wywołany złą organizacją pracy społecznej na terenie uniwersytetu.

W dotychczasowym przebiegu dyskusji o studiach akademickich zabrakło tematu pozornie tylko przedawnionego. Myślę o problemie tzw. „doświadczalnych” roczników studentów. Jak wiadomo — dwustopniowy (trzy plus dwa lata) program studiów zastąpiono już jednolitym — czterolletnim. Jednakże doświadczenia tamtych dwu roczników, z których na kurs magisterski dostał się stosunkowo niktą procent, to chyba sprawa nagląca. Trzyletni program studiów nie przewidywał np. zarysu historii filozofii; tak więc — choćby pod tym względem — naukowe przygotowanie owych absolwentów (w większości wypadków objętych już nakazem pracy) jest dosyć niepełne. Przy sposobności aktualnych dyskusji — może być to by dobrze poruszyć kwestię projektowanych przez Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego magisterskich studiów zocznych.

Kończąc zaryskowane tu uwagi nie można nie powiedzieć: dyskusja już się przyszyła. Począto serio zastanawiać się nad sprawą teoretyczną oczywistą, praktyczną jednak — niezmiernie trudną: nad specyfiką zagadnień młodzieżowych, nad odrębną metodą pracy wychowawczej wśród młodzieży. Rzecz obecna w tym, aby nie zmarnować pozytywnych starań, co i realizować szersze postulaty. (a)

KILKA UWAG O STOSUNKU WSPÓŁCZESNEJ MŁODZIEŻY DO NAUKI

MÓWIĄ: współczesna młodzież pozabawiona jest jakichkolwiek głębszych zainteresowań. — Popelniamy błąd. Mówimy: współczesna młodzież pojmując sens epoki i rozumie swoją w niej rolę. — I znówu popelniamy błąd. Nie dlatego, aby nie istniała dziś rzeczywistość młodzi, która jest płytka i powierzchowna, ani dlatego, aby nie istniała taka — która naprawdę myśli i zastanawia się, ale dlatego że są to uogólnienia, nie obrazujące stanu faktycznego. Młodzi jest taka, i taka, i jeszcze inna. Metoda uproszczenia i łatwych uogólnień do niczego się nie dojdzie, a właściwie dojdzie się jedynie do zafałszowania rzeczywistości.

Problematyka współczesnej młodzieży jest jednym z najbardziej skomplikowanych i jednocześnie najbardziej zasadniczych zagadnień. Skomplikowanych dlatego, że wchodzi tu w grę szereg czynników zarówno natury socjologicznej i ekonomicznej, jak pedagogicznej, filozoficznej, psychologicznej. Elementy te występują w każdej najdrobniejszej nawet sprawie, dotyczącej współczesnej młodzieży, wiążą się i splatają ze sobą w sposób nierozdzielny, dlatego właśnie żadnego tak zwanego „problemu młodzieżowego” nie da się bez ich uwzględnienia ani należycie zrozumieć, ani tym bardziej rozstrzygnąć.

Mamy w tej chwili, jak się to mówi „na warsztacie”, zagadnienie stosunku młodzieży do nauki. Spróbujmy tylko zdać sobie sprawę, ile i jakich elementów tu występuje. Przede wszystkim trzeba chociażby tylko schematycznie określić kilka przykładów bardziej typowych postaw. A więc po pierwsze:

Postawa praktyczna. Wygląda to mniej więcej w ten sposób: nauka szkolna jest potrzebna człowiekowi w jego późniejszym życiu. — Oczywiście, że istnieje tu zarówno szeroki wachlarz argumentacji, jak przesłanki, z których powyższe twierdzenie jest wnioskem. Porozumiewamy się od sprawy zdobycia elementarnej wiedzy koniecznej w życiu, aż do sprawy „świadectwa”. Od sprawy zdobycia konkretnego zawodu do sprawy kariery życiowej i sukcesu ekonomicznego. Od powoływania się na opinie rodziców i wychowawców do własnych, osobistych doświadczeń.

Po drugiej **postawie realistycznej:** wszystkiego człowiek i tak się nie nauczy. A więc trzeba albo wybrać jakąś określoną dziedzinę i do niej się ograniczyć, albo z dostępnego zakresu wiedzy wyłowić to, co najważniejsze i najpotrzebniejsze. Oczywiście, że tu możemy mieć do czynienia ze świadomym wyborem kierunku studiów, rodzajów szkoły, i wreszcie przedmiotem głównego zainteresowania, jak również stosowaniem techniki czy metody uczenia się „po lekcjach” lub zakładania z góry, że w obowiązującym programie opanuje się tylko niektóre przedmioty. Takie stanowisko wyraża się często w sposób następujący: „Jestem polonistą i matematyka niewiele mnie obchodzi”, albo „Jak będę dobrze stał z innych przedmiotów, to mi ładnie jakoś podciągną”. Zdarza się także, że ze stwierdzenia — człowiek wszystkiego i tak się nie nauczy — wyciąga się wniosek: wobec tego w ogóle nie warto się uczyć.

Po trzecie: **postawa snobistyczna** traktująca sprawę wiedzy mniej więcej jak sprawę modnego fasonu kapelusza czy zegarka, co w jakiś sposób wyróżnia i imponuje otoczeniu. Ostatecznie zdobycie takiego kapelusza wymaga także pewnego wysiłku i ofiar, a z kolei efekt, jaki w niektórych środowiskach wywołuje erudycja nie różni się wiele od podziwu wywołanego nowym kapeluszem — działa również niezawodnie.

Jest to postawa, która zdarza się częściej niż by się przypuszczało, jeżeli zważy się, że dotyczy ona przede wszystkim chęci imponowania i popisania się przed otoczeniem zdobytą wiedzą. Chodzi w tym wypadku głównie o to, aby powiedzieć o mądry, inteligentny, zdolny, utalentowany, w ogóle wyjątkowy. Wiemy dobrze, bowiem psychologia snobizmu znana jest bardziej niż jakikolwiek inna, jak szeroka skala i jaka rozpiętość posiada wszelkie „snobowanie się”. Począwszy od robienia się na „literata” czy „filozofa” do zgrzywania się bikiniarskiego. Od „znawcy” w dziedzinie np. sztuki czy polityki do „bywalca” np. noconych lokali.

I wreszcie **postawa sceptyczna** — podająca w wątpliwość wszystko i wszystkich. Cóż pewnego dziś w nauce? Cóż pewnego ma świadek. Cóż pewnego w człowieku? Prawda? — Gdzież ona i jaka jest?

I znów od wszystkich faz intelektualnego wątpienia do moralnej „bezcharakterowości”. Od relatywizmu teorii do relatywizmu w życiu. A teraz uprzytomnijmy sobie, jak w tych czterech przykładowo cytowanych postawach ujawniają się całe zespoły problemów ekonomicznych, politycznych, socjologicznych, filozoficznych, psychologicznych, pedagogicznych. Jak wiążą się ze sobą, jak zalewają, jak „grają”.

Mówiliśmy o praktyczności. Trzeba powiedzieć, że jest to tendencja w zasadzie zdrowa. Wiele przecież najgłębszych, najistotniejszych naszych zapamiętywań, często najbardziej wartościowych i trwałych składni-

ków naszego poznania rodzi się z potrzeb życia praktycznego. Epoka nasza zdawała sobie sprawę z tego, że wartości świata mieszczańskiego, postawiła wyraźny cel, ku któremu powinna zmierzać tu na ziemi ludzka myśl i ludzka praca. Ustawiała wyraźnie sprawę nauki w służbie człowieka i jego potrzeb. Wprawdzie brak dostatecznej wiedzy o świecie i nieopiełbiona postawa światopoglądowa prowadzi nieraz do dokonywania płytkich, powierzchownych syntez i ocen, do skłonności oskarżania rzeczywistości, bądź własnego czy cudzego światopoglądu bez szczególnych racji i argumentacji. Jeżeli pozostało przy tym przywiązanie do pewnego porządku społecznego lub nie widzi się możliwości oddzielenia założeń własnego poglądu na świat od światła mieszczańskich wartości i pojęć, wówczas uliczka, która się weszła, okazuje się prawdziwie ślepa. Niewątpliwie jednak, jeżeli stanie się na twardym gruncie określonych zasad, z których umie się wyprzedać właściwe konsekwencje i umie się właściwie je stosować, wówczas żadne ślepe uliczki na pewno nie grożą, ale do tego potrzebna jest dojrzałość i intelektu i charakteru. Zdobycie wiedzy ma właśnie służyć młodzieży do samodzielnego życia i samodzielnym sądom. Świadomość tego powinna stale towarzyszyć i uczniom i pedagogom.

Trzeba sobie także zdać sprawę, że nie wszystkie przeżytki dawnej mentalności mieszczańskiej zostały zlikwidowane, że na przykład sprawa traktowania wiedzy od strony jej rentowności i możliwości zapewnienia mniejszego czy większego sukcesu ekonomicznego pokutuje jeszcze w liczących środowiskach. Dzięki temu słuszne w swoim założeniu dążenie do wychowania człowieka praktycznego, to znaczy: umiającego podchodzić od strony praktycznej do przejawów i dziedzin życia, a więc i nauki, zostaje nieraz do w ten sposób wypaczone przez oportunizm i cynizm niektórych środowisk. Cóż z tego, że w szkole panuje atmosfera właściwa, jeżeli nie ma jej w domu i w najbliższym otoczeniu. Sprawa wpływów środowiska domowego ma w tym wypadku zasadnicze znaczenie. Tak samo jak sprawa wychowawczego oddziaływania szkoły i organizacji młodzieżowych, jak sprawa lektury, filmu, teatru. Nie ma takiego elementu w życiu, który by nie mógł w jakiś sposób oddziaływać na młodzież. Wszystko z czymkolwiek się ona styka, ma dla niej swoje pozytywne lub negatywne znaczenie wychowawcze. Rozwój młodzieży biegnie po trudnej nie raz do odcyfrowania przekątnej tych wszystkich zawiłych i krzyżujących się wpływów. Nauczyciel jest w tej sytuacji tylko jednym z bardzo wielu czynników wychowawczych,

JACEK PARWUS

UWAŻNY obserwator życia ulicy dostrzegł zapewne dość dziwne zjawisko powtarzające się od kilku tygodni we wczesnych godzinach popołudniowych w każdą sobotę: przed kioskami PPK „Ruch” formują się nagle błyskawiczne kolejki, skoro tylko na horyzoncie ukaze się kolporter prasy wiozący jej południową sobotnią porcję. Ścigane niespokojnym, chciałoby się powiedzieć podejrzliwym, spojrzeniem rejon sprzedawcy wyluskuje nerwowo z grubego pliku gazet niewielkich rozmiarów paczkę, której zawartość wskazuje barwna okładka wierzchniego numeru z napisem „Dookoła Świata”. Starzy i młodzi, kobiety i dzieci, robotnicy i studenci wyciągają pożądlive ręce, w których w ciągu kilku dosłownie minut znika cała zawartość owej paczki. Następnie sprzedawca czy sprzedawczyni wzdychają z odcieniem ulgi i na widocznym miejscu za szkłem kiosku ukazują się karteżka z wieloma mówiącymi napisami: nie ma „Dookoła Świata”.

Wielokrotnie już zdarzyło mi się słyszeć edmowną odpowiedź na pytanie „Dookoła”, „Świata”, czy też któregośkolwiek z liczących czasopiśmie społeczno-literackich, nigdy jednak — przyznać muszę — nie widziałem do czasu ukazania się „Dookoła Świata” owych nader wymownych karteżek z napisem „nie ma”. Co ciekawsze — również w przypadku „Dookoła Świata” po raz pierwszy zetknąłem się ze skargami i narzekaniami ludzi dorosłych i młodzieży na niemożność otrzymania egzemplarzy czasopisma, mimo energicznych poszukiwań w kioskach całego miasta. Wiele mówię do tego zjawiska, które ilustruje zainteresowania nie tylko szerokiego kręgu młodzieży, ale również i ludzi bardzo już niewiele mających z młodzieżą wspólnego, upoważnia chyba, aby przyrzec się nieco uważniejszemu przedmiotowi pożądanemu.

O ukazaniu się nowego typu ilustrowanego czasopisma dla młodzieży opinia publiczna była poinformowana już w końcu ubiegłego roku, przy czym do rozpropagowania pisma w niemałym stopniu przyczynił się konkurs na ustalenie jego nazwy. Z niecierpliwością oczekiwali liczni moi młodzi znajomi na pierwszy numer. W chwili, kiedy piśmie to słowa, wyszło ich już spod prasy. Z zabawnymi, o ile spełnity one oczekiwania i rozważny pokrótce, jaką rolę odegrać może no-

o oczywiście w żadnym wypadku nie może go zwalniać od spełniania swego obowiązku do końca.

Weźmy jeszcze jeden z elementów tej sprawy. Chodzi w dalszym ciągu o praktyczny stosunek młodzieży do nauki. Zdarza się, jak powiedzieliśmy, że idzie nie tyle o uczenie zdobycie wiedzy, ile o posiadanie dyplomu, świadectwa. Z czego to wynika? Niewątpliwie, niedawne są jeszcze te czasy, kiedy o pozycji socjalnej przesądzał nie tyle zasób posiadanej wiedzy, ile właśnie „papierki”. Błąd polega na zaszczepieniu w świadomości młodzieży tych zastarych pojęć — odpowiada za to środowisko społeczne, które tego dokonało, ale może się przecie zdarzyć, że gdzieś i kiedyś młodzież sama zetknęła się z takim wypadkiem i że to on właśnie wpłynął na zajęcie takiego czy innego stanowiska. Oczywiście, że działa tu szereg jeszcze innych elementów: dyspozycje psychiczne, skłonności charakteru, postawa moralna itp. Wydaje się, że i w tym wypadku nie da się żadnego czynnika wykluczyć i żadnego uczynić jedynie odpowiedzialnym. A zatem zajmowanie postawy praktycznej wobec nauki może mieć i ma niezawodnie swój aspekt pozytywny jak negatywny, co wynika z szeregu zabiegających się spraw, które są na pewno bardziej skomplikowane niż by się na pozór wydawało.

A teraz sprawa drugiej z kolei postawy, jak ją nazwalimy realistycznej. W lapidarnym twierdzeniu, które zostało cytowane, mieści się przecie oale zagadnienie tak zw. wykształcenia ogólnego i specjalizacji, mieści się sprawa dyskusji, jaka w tym przedmiocie była od dawna prowadzona. Mamy tu także problem zainteresowań i uzdolnień indywidualnych. Nierzadko nawet objawia się to, co się chrci szczytnym mianem powołania. Mamy tu również i sprawę umiejętności wywołania przez pedagoga zainteresowania wykładanym przedmiotem i sprawę tak zw. wpływów ubocznych i przypadkowych, które nieraz do w ten sposób przesądają o kierunku i wyborze. Działają tu wszystkie, co byśmy nazwali naturą człowieka, jego dyspozycjami, doświadczeniem jakie zdążył zdobyć, wiedzą jaką posiada, epoką w której żyje i wpływami, jakie nań działają. Jeżeli w konsekwencji takiej postawy zajmowanej wobec nauki jeden okaże się geniumem techniki a drugi talentem literackim, jeden — dobrym lingwistą, a drugi — matematykiem — nie ma powodu błądzić, że nie stanowiła dla nich ideału wszechstronność ludzi odrodzenia, że byli raczej „minimalistami” niż „maksymalistami”. Oczywiście, konieczna jest świadomość, że niezbędne jest posiadanie jakiejś podstawowej wiedzy ogólnej i że bez tego nie da sobie rady ani naję-

nielniejszy technik ani największy poeta.

Problem zaczyna być niepokojący dopiero w tym momencie, gdy czynnikiem decydującym staje się w ogóle brak jakichkolwiek zainteresowań nauką i wiedzą, gdy młodzież posługuje się „techniką” okpiwania nauczycieli i wprowadzania w błąd rodziców, gdy robi wszystko, aby nie mieć nic, gdy marnuje nierządnie sporą ilość energii na wynajdywanie rozmaitych „metod i sposobów” zamiast po prostu się uczyć. Wydaje się jednak, że to zdarzało się we wszystkich epokach i we wszystkich ustrojach i że „okpiwany” był zarówno ten dawny surowy „mentor z różą w ręku”, jak współczesny „przyjaciel młodzieży”.

Jeden i drugi zachodził w głowę, jakich to on „sposobów i metod” ma użyć, aby przekonać młodzież, że w gruncie rzeczy okpiwa ona jedynie i wyłącznie siebie.

Jeżeli chodzi o postawę snobistyczną, to wydaje się, że jest to typowa pozostałość przeżywania się mentalności mieszczańskiej, kulturowanej świadomości nieświadomości w wielu środowiskach, nieraz do odległych przetrwałych się jak najbardziej od wszelkich powiązań z klasą mieszczańską. Jest to sprawa wielu jeszcze pozostałości „starożytności” w naszym stylu życia. Łatwiej i szybciej dokonywać się bowiem przemiana ekonomiczna i społeczna niż przemiana mentalności. Łatwiej i szybciej usuwa się pozostałości dawnego systemu społecznego ze stosunków politycznych i ekonomicznych, niż z ludzkich nawyków, przyzwyczajzeń, upodobań i pragnień. Nie chodzi tu przecie o zdrową ambicję, chęć wybić się, zdobycia sławy czy rozgłosu. Nie chodzi o tę tak bardzo ludzką ochęć dzielenia się z otoczeniem własnymi powodzeniami, nie chodzi także o sprawę posiadania świadomości swojej wartości osobistej, ani nawet o zarozumiałość — są to cechy indywidualne, które mogą posiadać jednostki w każdej społeczności i w każdym środowisku określają one człowieka i tylko człowieka. Snobizm natomiast, to „sprawa klasowa”, bardzo wyraźnie klasowa. Znajduje on pożywkę w młodzieńczej chęci zapanowania własnych wartości, że dzieje się to w tym wypadku nie drogą rzeczywistego wykazania się oryginalną wartością indywidualną, ale drogą „dozłusowywania” do utartych i wytartych szablonów — z tego nie zdaje się sobie sprawy. „Snobowanie się” to sprawa naśladownictwa „bierności umysłowej. Gdy powtarzamy modne sądy i oceny, gdy wypowiadamy cudze zdania, gdy postępujemy się wiadomościami i wiedzą nie przyswianą, nie przetrwoną, nie przemyślaną przez siebie dostatecznie — stajemy się czyn-

w rodzaju papug. Przeciwnie, gdy próbujemy dać społeczeństwu coś nowego, coś naprawdę własnego, jakimś nowym punktem widzenia, nowym sposobem pracy, nowe doświadczenie — wówczas rzeczywistość zdobywamy znamie indywidualne, stajemy się kimś określonym, kims, którego sądy i opinie jakoś się liczą.

Sprawa postawy sceptycznej to chyba zagadnienie najpoważniejsze! Występuje tu cała, współcześnie narodziła problematyka filozoficzna, konflikty światopoglądowe, które w okresie młodości mają specjalne znaczenie. Wiemy dobrze, że umacnianie się i ugruntowywanie postawy światopoglądowej przechodzić może przez okres „burzy i naporu”. Okres wątpienia i okres szukania. Sprawa niepokojących pytań, które musi zadawać sobie młodzież, to droga do koniecznego wysiłku myśli w szukaniu rozwiązań. Współcześnie tak wyjątkowo silne ścieranie się dwóch poglądów na świat: spirytualistycznego i materialistycznego nie odbywa się i odbywać się nie może poza plecami młodzieży. Na jej oczach również dokonuje się starcie dwóch światów, dwóch kultur kapitałistycznej — mieszczańskiej i socjalistycznej. W jej oczach podważeniu ulegają wartości i pojęcia dawne — powstają nowe. Jeżeli linia podziału zostanie wyraźnie uświadomiona i wyraźnie przeprowadzona — konflikty będą wprawdzie istnieć, bo trudno sobie wyobrazić w ogóle dojrzwianie światopoglądowe i ideologiczne bez konfliktów, ale nie muszą one prowadzić do sceptycyzmu. Jeżeli linia ta biegnie zrykami, jeżeli nie można własnej postawy i własnego stosunku do spraw najważniejszych skonfrontować to inaczej jak z wynikiem wątpliwym, jeżeli zostajesz przywołany, zalamany i złamany argumentacją, na którą nie masz jeszcze gotowej własnej odpowiedzi, jeśli czujesz się za słabo uzbrojony i zaczniesz kałuluować, jeśli wreszcie — nie umiejąc przekonać — sam stajesz się mniej przekonany, jeżeliś w jedno już zwątpił a w drugie jeszcze nie uwierzył, to ma tej połowie drogi nie trudno o sceptycyzm i nie trudno o przyjęcie najłatwiejszego wyjudnia jakim jest relatywizm. Nie ma prawdy obiektywnej, nie jest całkowicie pewne, wszystko można równie przyjąć jak podważyć.

W ten wewnętrzny konflikt młodzieży zaangażowany jest i dom i szkoła, i zarówno dom i szkoła powinny stworzyć młodzieży warunki do znalezienia drogi wyjścia, do tego, aby mogła stanąć mocno na twardym gruncie. Trzeba czuć, aby nie nastąpiło zniechęcenie w szukaniu rozwiązań, aby zrozumiano konieczność zdobycia wiedzy, jako niezbędnego elementu pogłębienia własnego poglądu na świat, i jako niezbędnego sprawdzianu wszystkich pojęć i wartości, jakie jej

wiązuwać większej wagi do naszych wątpliwości i po prostu jeszcze trochę poczekać.

przekazano i do jakich sama do-
szła.

Oczywiście nie jesteśmy w stanie dokonać tu pełnego i dokładnego przeglądu wszystkich możliwych postaw młodzieży wobec nauki. Istnieje ich niewątpliwie wiele więcej i na pewno są w rzeczywistości bardzo zróżnicowane. Chodziło o pewne cechy charakterystyczne i na tyle powtarzające się, aby je w jakimś stopniu uznać za typowe. Chodziło również o wykazanie, że sprawa stosunku młodzieży do nauki nie da się zatłwić jednym czy drugim generalizującym i apodyktycznym twierdzeniem, że jest to sprawa skomplikowana i trudna. Nie jest słuszne stosowanie tu metody prokuratorzkiej; oskarżony, akt oskarżenia itd., natomiast konieczne jest wzięcie pod uwagę jak największej ilości czynników, które wyznaczają zagadnienie. Trzeba zdać sobie sprawę właśnie z całej skomplikowanej struktury problemu, aby można było szukać dróg prowadzących do jego rozwiązania. W tym wypadku zasadniczym problemem stanowi sprawa młodzieży. Zagadnienie jej stosunku do nauki jest tylko jednym z elementów przy analizie tego zasadniczego problemu.

Wniosek do jakiegoś po tych rozważaniach można dojąć jest jeden: nie ma takiego zagadnienia dotyczącego młodzieży które by można rozpatrywać w oderwaniu od innych. W sprawach tych wszystko się o siebie wzajem zabiega. Zagadnienia filozoficzne i ustrojowe, psychologiczne i pedagogiczne, społeczne i etyczne, ekonomiczne i polityczne. Decyduje tu i dom, i szkoła, i sama młodzież. Decydują wpływy otoczenia i rzeczywistości, z którą się styka. Decyduje lektura, radio, teatr, kino, decyduje jeszcze szereg rozmaitszych elementów. Decyduje wreszcie epoka.

Revolucja dokonała społecznego awansu młodzieży. Młodzię bowiem, wiek młodzieńczy jest tym zasadniczym żywiołem, z którego czerpią wszystkie rewolucje społeczne. Trzeba jednak pamiętać, że młodość, to wiecznie bijące źródło buntu przeciw temu, co zastane gotowe, skończone i że tu tkwi zarówno źródło rzeczy i spraw najlepszych jak i poważnych niebezpieczeństw. Ponieważ na tym, co stanowi jej naturę i istotę bazować może zarówno słuszność jak błąd, zarówno zasługa jak występ-

Trzeba, aby młodzież zrozumiała naprawdę tę swoją wyjątkową rolę w obecnej epoce i trzeba, aby była świadoma tego, co oznacza ta jej emancypacja i do czego ją zobowiązuje. Chodzi o posiadanie przez nią prawdziwego poczucia odpowiedzialności. Jest to sprawa jej, rodziców i pedagogów. Jest to sprawa całego społeczeństwa, sprawa naszej epoki i przyszłych pokoleń.

NOWE CZASOPISMO DLA MŁODZIEŻY

może i powinna być traktowana i dyskutowana jako poważny potencjalny czynnik dynamiki kulturalnego i społecznego rozwoju.

Zwrócić potrzebę nieodczinności, nadzwyczajności wśród młodzieży ku pozytywnym celom kulturalnym i społecznym, ku poszerzeniu własnych zainteresowań i umiejętności, ku udoskonaleniu poznania zjawisk otaczającego świata, rozumienia ich i oceny — oto, wydaje się, cel, jaki postawił siebie zespół redakcyjny nowego czasopisma.

Jednak, aby go osiągnąć, trzeba sięgnąć do arsenalu środków formy, odpowiadających tej powszechnej u młodzieży, zdrowej i twórczej potrzebie nieodczinności i „nadzwyczajności”, która jest chyba jakąś odpowiadającą szczególnie wiekowi przełajcającemu formą aktywności kulturalnej. Do takich środków postanowił niewątpliwie i słusznie sięgnąć zespół redakcyjny „Dookoła Świata”, starannie omijając rafę rewolwerowej błyskotliwości.

Głód sensacji i przygody, potrzebę zaznaczenia swej indywidualności i swego młodzieńczego nonkonformizmu zaspokoić dobrą, wartościową strawą, podaną w ciekawej i atrakcyjnej formie, gwarantującej wówczas dla duchowego kościa młodzieży przyswojenie treści współczesnej kultury.

Z dotychczasowych rozważań widać więc — jeśli dobrze pojęliśmy intencje wydawcy — jak ważnym środkiem oddziaływania wychowawczego i kulturalnego ma być nowe czasopismo. Niechaj się więc wylegitymuje swymi pierwszymi dziełkami numerami.

Trzeba przede wszystkim przyznać, że każdy z nich bierze się z najwyższym zainteresowaniem do ręki i to, co stanowi niewątpliwie komplement dla redakcji — w opanowaniu o znajomości wszystkich numerów poprzednich i w głębokim wynikającym z tego przekonaniu, że znajdzie się w środku coś nowego, ciekawego, podanego w żywej i barwnej formie. Reportaże, opowiadania, bardzo żywe recenzje, parady, felietony, ciekawe artykuły popularno-naukowe — jednym słowem bardzo miły pozorny „cicerum caule”. Dobre na ogół i ciekawe zdjęcia nie publikowane gdzie indziej, które — niestety — dość słabo wypadają w technice reportażurowej na nienajlepszym papierze,

Tematyka — wcale nie „cicerum caule” — starannie dobrana i podana w przemyślny sposób, mogący zachęcić do czytania nawet bardzo wybrednego i wyrobionego czytelnika, wychowanego powiedzmy na dobrych, starych tradycjach „Przekroju” i doskonałego „Świata”.

Jednak w tym miejscu nasuwa się dość zasadnicza wątpliwość: dla kogo przeznaczone jest pismo? Jeśli tok naszego poprzedniego rozumowania był słuszny i prawidłowy — to dla młodzieży, która znajduje się w trudnym okresie nie do określenia swojej wzburzonej przez przejściowy wiek osobowości, kiedy to najśliszszą jest żądza „silnych wrażeń” i bardzo jeszcze niedoskonałe i niewyrobione stosunki ze światem i jego ocena — przede wszystkim moralna. Ten wiek — to, praktycznie biorąc, w naszych warunkach lata od 13, 14 do 17, 18 roku życia.

Czy w takim założeniu sposób ujęcia treści w piśmie odpowiada zawsze w pełni jego zadaniom? W numerze 2, w bardzo ważnym programowo — wychowawczym dziele „Między nami” znajdujemy felieton poświęcony kapitalnej sprawie kultury, zabawy i zwalczania chuligaństwa. Sprawę potraktowano w zasadzie słusznie, ale czy na serio zalecać będziemy naszej młodzieży z klasy, powiedzmy 10, a nawet 11 picie „(nie tylko wina)” i „mocniejsze przytulanie partnerek w tańcu”? Postawmy sprawę szczerze — nie chodzi nam o to, by w czasopiśmie sprawy te były traktowane z zakłamaniami i pruderią, a po prostu z pewnym taktownym umiarem lub, jeśli kto woli — wdziękiem. Sądzimy, że sprawa tych nie należy omijać ani przemilczać, ale chyba trzeba znaleźć jakąś bardziej odpowiedzialną formę dla ich poruszenia na łamach tego typu czasopisma.

Zaskakuje też — przyznać trzeba — wprowadzanie działu mody. Czyżby zbyt mała ilość czasopism zajmowała się tymi sprawami i czy poczytność pisma spadłaby z powodu pominięcia tych spraw?

Wysunięte powyżej wątpliwości sprawiają, że zdezorientowani jesteśmy trochę co do tego, kto ma być zasadniczym odbiorcą czasopisma. Przypuszczalnie z czasem wszystko się „dotrze”, tym bardziej, że dobor autorów jest staranny, a więc może nie należy przy-

Reasumując — dobre, wartościowe czasopismo, które może odegrać poważną rolę w pałecy sprawie oddziaływania na młodzież, wyjątkową — innym formom oddziaływania. Jeśli problematyka w dalszym ciągu nie ulegnie zubożeniu, a jej ujęcie splecienia, jeśli wyraźniejszy stał się profil pisma dostosowany do potrzeb odbiorcy i jego wieku — osiągnie ono z pewnością miliony nakład, czego mu szczerze życzymy, i będzie w dalszym ciągu chętnie czytane przez młodych i starszych, a przede wszystkim przez młodych, o co przecież idzie. Sprawa ta ma znaczenie z pewnością nie mniejsze dla przyszłości naszej kultury od wydawania najlepszych nawet czasopiśmie społeczno — literackich,

NIEWIELKI rozmiarom tomik (Zurawca) należy do najbardziej godnych uwagi książek poetyckich wydanych w okresie powojennym. O poezji tej powiedzieć można, że jest ona poezją eksperymentalną. Określenie to wymaga jednak szerszego omówienia, gdyż eksperyment eksperymentowi nie równy.

Przed wojną mieliśmy poezję eksperymentalną bardzo dużo. Uczciwie mówiąc: dużo za dużo. Dominowała bowiem wtedy moda na mały eksperyment. „Małym” nazywamy go nie tylko dlatego, że ograniczał się do zagadnień leksykalnych i składni, co wielokrotnie wytknęliśmy ówczesnym rytmom i rytmom, walczący o „treść” i o „wielką metaforę”. Ograniczenie to nie było zle samo z siebie. Odpowiadało ono pewnym bardziej zasadniczym perturbacjom poetyckiego widzenia świata i dlatego miało swą głęboką rację jako przeformowanie narzędzia wyrazu. Istota rzeczy tkwiła w owym przeobrażeniu się widzenia, w formowaniu się pewnego specyficznego dla dużej ilości ówczesnych rytmotwórców schematu aperepcyjnego. Ow schemat aperepcyjny nastawiony był przede wszystkim na wyławianie z rzeczywistości tych jej elementów, które zawierały maksimum niezwykłości i nowości. Obiektom jego był szczególnie uczulony na wszelkie anomalie, wyjątkowości, zjawiska graniczne, elementy świata rzeczy i zdarzeń „opajające” znaczeniowo, dające się również dobrze interpretować na różne sposoby. Wskutek takiego ustawienia schematu aperepcyjnego twórca rzeczy, fakty i idee spadały do roli pretekstów tematycznych. Właściwym tematem stawały się refleksy psychiki indywidualnej na podłożu przychodzącej do świata rzeczy. Refleksy, odruchy, a nie dogłębne reakcje pełnego człowieczeństwa, wprawiające w wibrację wszystkie fibry intelektu i sumienia. Wzięty poetycką organizacją bowiem nie bezpośredni kontakt ze światem rzeczy, ale pragnienie dania wyrazu prywatnemu „jak — ja — to — to — widzę”. Pisało się wiersze o swojej lirycznej przygodzie, której podmiotem było napisanie tego właśnie wiersza. Świat w zwierciadle tak pojętej poezji przemieniał się w chaos poszczególnych elementów lirycznego doznania, w mozaikę indywidualnych i samostojących zdarzeń psychicznych. I ten właśnie poetycki „empiriokrytycyzm” decydował o małości eksperymentów ówczesnej poezji.

Nie dowód to jednak, żeby odmówić poetom prawa do eksperymentu, żeby zapędzać ich w skolarstwo jakiegoś świeżo odmalowanego i „unowocześnieonego” pseudoklasycyzmu. „Małemu” eksperymentowi należy przeciwstawić „wielki” — oto jedyny sposób wybrnięcia z impasu. Co jest podstawową zasadą „wielkiego” eksperymentu? — Takie zorganizowanie środków wyrazu poetyckiego, aby był on zdolny do uchwycenia i odtworzenia w pełni problematyki konkretnie przeżywanego przez dane społeczeństwo rzeczywistości humanistycznej w najszerszym tego słowa rozumieniu. „Wielki” eksperyment zobowiązuje więc poetę do tego, by umiał on porać się z zagadnieniami swego czasu i w swej twórczości dawać nie zapomnienie o nich ani też miły, ale wiedzę. Wiedzę, oczywiście, poetycką, więc nie-konieczną przeluzującą ściśle na język pojęć dyskursywnych (bo to byłaby rymowana filozofia lub rymowana publicystyka), lecz organizującą uczuciowość i wyobraźnię czytelnika w sposób współodpowiadający temu, w jaki najbardziej zaawansowana i zdobywcza wiedza naukowa organizuje jego

STEFAN LICHANŃSKI

WIELKI EKSPERYMENT

myślenie zreflektowane. „Wielki” eksperyment wprowadza poezję w krąg działań najbardziej twórczych i postępowych sił dziejotwórczych, a zarazem najpewniej zabezpiecza jej samodzielność, jej rodzajową autonomię, gdyż czyni z niej świadomą i aktywną współtwórczynię historii, chroniąc tym samym zarówno przed zejściem na margines życia, jak i przed spadnięciem do roli magistralnego obwoływanca aktualnych haseł i rytmowanych „obwieszczeń”.

Na taki właśnie eksperyment porwał się w swoich poematach Zurawiec. A przecież nie musiał zaczynać z tej beczki. Mógł wszystko, co miał do powiedzenia, wyrazić językiem poezji klasycyzującej lub też owym klasycyzującym — awangardyzującym wołającym, który tak umiłowali niektórzy lirycy młodszego pokolenia. Jego technika wierszopisarska jest tak dojrzała i w pełni opanowana, że mógłby na pewno. Tym jednak językiem można mówić wtedy, gdy wypowiada się myśli już gotowe, gdy proces krystalizacji poglądów i przekonań mamy już w zupełności za sobą. Nie wystarczy jednak ta forma wypowiedzi, gdy chodzi o odtworzenie kryzysów myśli, zmagania się z problematyką, którą trzeba dopiero przetrawić, przyswoić sobie, opłacać. Poematy Zurawca są zapisem krystalizacji intelektualnej uchwyczonej *in statu nascendi*. Trudne to i ryzykowne przedsięwzięcie, ale wyznaczające zarazem wysoką i zaszczytną rangę tej poezji, zmuszając do traktowania jej jak najbardziej serio.

Poezja myśli... Nie poezja refleksyjna, ubierająca w „mowę wiążącą” ostateczne rezultaty wcześniejszych rozważań, ale poezja myśli walczącej o swoją pełną, czystą krystalizację, o dojrzałą samoświadomość. Oczywiście tych, którzy uważają, że „prawdziwa” liryka powinna być utrzymana w tonacji: „Och, serce mi z bólu pęka!”, należy ze względów humanitarnych przestrzec przed lekturą „Wיעu w środku człowieka”. Po co się ma ją, niebożęta, irytować? Dla tych jednak, którzy nie gustują w „lirycznych pamiętnikach duszy” ani też w emocjonalnym skowycie „wzruszających” poetyczności, tomik Zurawca może być książką pasjonującą.

Co w niej najbardziej imponuje, to precyzja i świadomość roboty artystycznej. „Wiec” nie jest debiutem „obiecującego młodzieńca”. Jest to książka dojrzała, o mocno zarysowanym, bardzo własnym profilu. Widać, że autor zna dobrze sekrety warsztatu pisarskiego i umie się nimi posługiwać jak najbardziej celowo. Chwilami chciałoby się rzec: aż nazbyt celowo, że szkoda dla lirycznej ekspresji. Ale to nie szkodzi: tyle już w poezji polskiej nalicyzowano „spontanizację” i „żywołowo”, że odchylenie w drugą stronę może być cenne jako przypomnienie o konieczności zachowania równowagi i umiaru, przypominające o roli elementu intelektualnego konstrukcjonizmu w pracy wierszopisarskiej.

A teraz pytanie zasadnicze: gwo-li czemu uprawiał poeta w ruch swoją ambicję eksperymentatorską, swoją pasję intelektualną, swoją znajomość techniki literackiej? Cztery sprawy poruszone zostały w „Wיעu w środku człowieka”: wojna w Korei, ucisk kolonialny, proces Rosenbergów, walka o pokój. „Ależ to publicystyka!” — wrzasną nadwiślańscy Hellenowie, dewotki

„czyste sztuki”. Nie, proszę panów, to nie jest publicystyka, jeżeli przez publicystykę rozumiemy naiwne kaznodziejstwo, propagandę gotowych haseł. Jeżeli natomiast pod określenie to podciągamy stawianie i rozwiązywanie problemów o poważnej doniosłości społecznej, politycznej i moralnej, problemów aktualnych, a nie w abstrakcyjny sposób „wiecznych” (jak np. konflikt płci, konflikt pokoleń, konflikt jednostki i zbiorowości, gdy traktuje się je poza historycznie, metafizykując), to w takim razie jest to publicystyka. Ale takiej publicystyki potrzeba nam jak najwięcej. No i miano publicysty staje się wtedy określeniem zaszczytnym, a nie deprecjonującym.

Zurawiec stara się właśnie dotrzeć do zawartej w faktach problematyki, nie „opiewa” wojny koreańskiej, ale rozważa ją jako zagadnienie sumienia chrześcijańskiego postawionego wobec faktu tej wojny. „List do kardynała Spellmana” zbudowany jest na kontrastowym zestawieniu dwu motywów: obrazu śmierci Joanny d'Arc i zjedzenia, na którym widzimy kardynała błogosławiącego amerykańskich żołnierzy na Korei. Motywy te potraktowane zostają dynamicznie, poeta wydobycia z nich i realizuje poetycko ich potencjał znaczeniowy. Joanna d'Arc — uosobieniem ideału chrześcijańskiego ryceństwa, patronką walki o wolność, bohaterką natchnioną świętym gniewem boju o prawo i honor swego narodu — przeciwstawiona zostaje złodajkowi niosącemu niewolę ludowi Korei:

Plomienie zimne liżą
Stopy Joanny d'Arc.

Można by pisać o niej,
Można by mówić o niej,
Chwała jej silne dlonie —
Powstały piękny wiersz.

Można by sznur różańca
Nanizac cichym szeptem
Na rozmodlenie warg.
Ale jest — śmierć.

Śmierć na okładce „Timesa”,
Ukryta w złym zmruczeniu
Złych oczu, co spod helmu
Patrzą jak zbrodźców.

Wojna sprawiedliwa i niesprawiedliwa, święty, sprawiedliwy gniew skrzywdzonych i zimna, zacięła złość krzywdzicieli — te zestawienia nie wyczerpują znaczeniowo „wielkiej metafory” Zurawca, stanowią jej pierwszą warstwę, za którą kryje się druga — daleko istotniejsza. Jest nią problematka reakcji sumienia chrześcijańskiego na fakt prowadzonej przez chrześcijan wojny zaborczej. Bo Zurawiec nie usiłuje opróżnić sobie sprawy przez odwołanie tym chrześcijanom i błogosławiaczom ich kardynałowi i miana wyznawców religii Chrystusowej. Poeta przyjmuje na siebie współodpowiedzialność za nich. I dlatego nie ma prawa pisać o Joannie d'Arc.

Niech wszystkie słowa
W tym liście kłęknią
I schylą skroń.

Tak przecież zawsze wierni twoi
Kłękają,
Gdy pochylają zachmurzone
Czola,
Czcząc w tobie, Eminencjo,
Dobro Kościoła,

Mądrość Kościoła
I Jego piękno.

Na kłęczkach, z czołem pochylonym
Nie wolno jednak słowom milczeć:
Trzeba nazywać grzech.

Czyj grzech? Nasz wspólny, grzech wszystkich chrześcijan, którzy zezwolili na to, aby religia stała się narzędziem polityki zaprzeczającej prawdę Ewangelii, aby szukała oparcia w ustroju przekreślającym swoją codzienną praktykę cały sens nauki Jezusa z Nazaretu. Tu nie chodzi o Piłatowy gest umywaną ręką, o faryzeuszowskie „Dziękuję Ci, Panie, że nie jest jako ów celnik”, tu chodzi o wydobycie jaw i skonfrontowanie z wizją głąw i stosów w Rouen Rycerki Pańskiej tego wszystkiego, co w naszych chrześcijańskich sumieniach solidaryzuje się z kardynałem błogosławiącym najędźszą armię, tego wszystkiego, co sofistycznie obłudnej kazuistyki stara się pogodzić wierzność dla ludobójstwa i ucisku. Poeta nie może pisać o Joannie d'Arc, bo jego wiersz o świętej bohaterce, gdyby to nawet był „piękny wiersz”, będzie grafomania. Będzie grafomania, gdyż będzie kłamstwem. Dla Joanny nie ma miejsca wśród tych, którzy w większym lub mniejszym stopniu są odpowiedzialni za słabość i niżykość gotową do kompromisów z imperializmem i kapitalizmem. Joanna musiałaby dzisiaj być przed kardynałowi Spellmanowi.

I dlatego „List do kardynała Spellmana” będzie jednocześnie „niemanym wierszem o Joannie d'Arc”. Tak wygląda „publicystyka” Zurawca — to daj nam, Boże, jak najwięcej takiej publicystyki. Przyzwyczajono nas do tego, że w wierszu ostatecznie może być nawet tendencja, ale w takim razie tendencję tę należy okupić jak największą ilością i jakością tzw. „walorów artystycznych”. Zurawiec stawia zagadnienie inaczej: tak zabrac się do tendencji, żeby dotrzeć w niej do problemu najgłębiej własnego, jak najistotniej zahaczającego nasze sumienie, jak najmocniej poruszającego nasz intelekt i nasze uczucie, a wtedy znajdzie się odpowiadająca przedmiotowi „piękna forma”, wtedy samo prawidłowo kształtowanie się myśli będzie jednocześnie tworzeniem walorów artystycznych integralnie przynależnych do opracowywanego utworu i zbyteczne się stanie obwieśnianie go z zewnątrz sztukateriami zbytecznych treściwo ozdóbek.

Taki „obrok duchowy” możemy zebrać z lektury „Wיעu w środku człowieka”. Sam fakt takiego właśnie ustawienia problematyki eksperymentu literackiego już wystarczałby w zupełności, aby rozpaść się tak szeroko o tomiku nieznane go dotąd autorowi. Słowem: jako eksperyment książka jest pozycją o niewątpliwie doniosłości. Czy jest jednak również osiągnięciem, czy realizuje w pełni program, zamiar, z którego wyrosła?

Zaczniemy od wątpliwości i zastrzeżeń. Tej kondensacji i wyrazistości myśli, jaką imponuje „List do kardynała Spellmana” nie odnajdujemy w pozostałych poematach. Autor — moim zdaniem — poszedł w następnych swych utworach na kompromis między poezją eksperymentalną a „normalną” i tym właśnie osłabił do pewnego

stopnia nie tylko ich charakter nowatorski, ale również i sugestywność ideową. W wierszach tych widzimy nawrót do regularnej metryki i strofiki. Nie wydaje mi się aby czterowierszowa zwrotka była z natury „passeistyczna”, ale u Zurawca tak to jakoś wypada. Je im bliżej „normalności” stroficznej i rytmicznej, tym bliżej retoryki. I, co osobliwie, w fragmencie tytułowego poematu poświęconym przedstawieniu pisarza reprezentującego stanowisko ideowo jak najbardziej bliskie autorowi, poetycka dydaktyka myśli — tak przekonywująca rozwinięta w „Liście do kardynała Spellmana” — ustępuje miejsca rytmowanemu kazaniu, starszowieckiej dydaktyce:

Daj słowu siebie. A siebie wypracuj
Mądrość wyboru w rozterkach
śródnocnych.
Niech będzie pozdrowiony pisarz,
który walczy!
Niech pochwalony będzie trud
owocny!

Dostrzegam w tej partii jakąś do przesady doprowadzoną chęć stawiania tak wyraźnych kropek nad i, żeby nikt się nie mógł pomylić. Autor jakby się w pewnym momencie przestraszył, czy nie okaże się nazbyt preintelektualizowanym, pośrednim, mało komunikatywnym, i — zamiast nateżyć ambicję w kierunku maksymalnego wyklarowania i sprycyzowania własnego stylu — cofnął się nieco z obranej drogi, uderzył w tony kaznodziejskiej retoryki i dydaktyki.

Podobnym wypadnięciem ze stylu wydaje mi się fragment „Sędzia mówi” w poemacie o Rosenberkach („Akt oskarżenia”). Ten sędzia mówi zbyt otwarcie, zbyt cynicznie. Autor powie zapewne, że przecież nie chodziło mu o poetycką transpozycję przemówienia sędziego, ale o wydobycie z tego przemówienia podstawowych a najbardziej ukrytych, zamaskowanych prawniczą terminologią przesłanek wyroku skazującego. Owszem, ale tą metodą dotarł Zurawiec do abstrakcyjnego schematu niegodziwości moralnej i społecznej, zrobił z przeciwnika, którego trzeba było zde-maskować w jego dwulicowości, obłudzie wyrafinowanej i na wpół pomieszanej z najbardziej szczerym przekonaniem — jasełkowego Heroda. Zurawiec jest przekonany (i słusznie), że pokazał samą zasadę działania mechanizmu tej amerykańskiej sprawiedliwości, która zmiażdżyła Rosenberga. Ba! Ale nam więcej pożytku dałoby obserwowanie działalności owego mechanizmu, demaskowanie go w akcji, w konkretnym działaniu. Tak okrutnie cyniczny i szczerzy nie byli skazujący Rosenberga sędziowie nawet wobec siebie samych.

Obok skłonności do zbyt pośpiesznego formułowania ostatecznych konkluzji bez ich wystarczającego udokumentowania artystycznego i myślowego (co daje w rezultacie retoryczną deklamacyjność i mało skuteczną dydaktykę ex cathedra poszczególnych partii) drugą słabością Zurawca jest brak dostatecznej kontroli nad inspiracją przychodzącymi od strony reminiscencji lekturowych. W „Czarnym śpiewie” mamy konkretną aluzję do „Chaty wuja Toma”, (Piesń o nowej chacie wuja Toma), a przywołany przez autora cień pani Beecher-Stowe nie przyszedł sam, przywiódł ze sobą cienie jej krewniaków po piórze. Przy lekturze

fragmentów takich, jak np. „Kolor cierpienia” lub „Pieśń o pięknej Lei” mamy wrażenie, że czytamy przełożone na wiersze urwyki — może Multatulego, może Travena, a może nawet jakieś bardziej sentymentalne kawałki z Londona. Motywy krzywdy kolorowych wyszyskane w tych fragmentach wiodą swój rodowód z literatury współczesnej i protestu. Nie uderzają one mocno i trafnie ani w nienawiść rasową, ani w system kolonialny. Jest w nich jakiś irytujący już dzisiaj ton budzenia litości dla krzywdzonych i przypomnienia, że „Murzyn to też człowiek”. Te sentymentalne wstawki, zamierzona prawdopodobnie jako próba charakteryzowania „układu odniesienia” na tle którego ma się zarysować postać Robsona, wypadają blado i raczej osłabiają niż wzmacniają wymowę poematu.

Zastrzeżeń jest sporo, w którym jednak nie zmieniają one faktu, że autorowi udało się osiągnąć cel zasadniczy: problematyzować kwestie, które podjął w swych poematach, ukazać je jako zagadnienia.

W utworach tych świadoma, dyskursywna myśl odgrywa rolę integralnego współczynnika twórczości poetyckiej i — co ważniejsze — bynajmniej poezji nie usmiera. Przeciwnie: najlepszym utworem tomu jest właśnie najbardziej nasycony intelektualizmem, najbardziej świadomie realizowany „List do kardynała Spellmana”. Równocześnie jednak potrafi autor (zwłaszcza w „Akt oskarżenia” i poemacie tytułowym) wydobyć dynamikę aktualnie zachodzących procesów historycznych. Dzieje i twórcze są zbiorowisko ludzkie wzniesione są na karty poematów Zurawca bynajmniej nie na darmo. Zaimek „my” w „Fevolucji serdecznej” zamykającej „Wiec w środku człowieka” brzmi istotnie jak wypowiedź chóru, a nie uzurpatorskie „my” samotnego marzyciela.

Rozwiódłem się bardzo szeroko nad swoimi wątpliwościami i zastrzeżeniami do książki Zurawca. Nie dlatego jednak, by ją deprecjonować. Przeciwnie: „Wiec w środku człowieka” wydaje mi się pozycją, która upoważnia do stawiania autorowi jak najbardziej ostrych i surowych wymagań. Ta książka zawiera w sobie zapowiedź własnego, oryginalnego stylu poetyckiego. To nie jest poezje, takie na trzy plus wierszokolekcje jeszcze jednego z epigonów Staffa czy Tuwima. Jest w tej książce rozmach, brawura, śmiałość i oryginalność. Czy Zurawiec potrafi wyciągnąć wnioski ze swego „wielkiego eksperymentu” i przejść od niego do wielkich dokonań, zobaczymy po następnej jego książce. Osiągnięcia niewątpliwie ma już dziś, ale bądźmy ostrożni z wciemnieściami laurowych, bo nuż się okaże, że „do raju sztuka”?

Ale żart na stronę. Eksperyment Zurawca jest godną uwagi i szacunku próbą podjęcia przez poezję katolicką najbardziej ważkiej i trudnej problematyki współczesnej. Jest on także ambitną i w znacznym stopniu udaną próbą przełamania granic pomiędzy liryką osobistą a społeczną i filozoficzną. Skala zainteresowań poety jest bardzo rozległa, a nie gorzej też przedstawia się skala jego możliwości w radzeniu sobie z różnorodną i trudną problematyką. To chyba wystarczy. Pojawia się książka bogata w treść i interesująca. **Natus est poeta.** Mamy pełne prawo zamknąć w tym stwierdzeniu nasze rozważania.

*) Mateusz Zurawiec: „Wiec w środku człowieka”. Pax 1953.



Część pierwsza

1.

Zapadała głęboka noc.
Porucznik Kerton zagryzł z wściekłością wargi. Spojrzał na Lenocha. Ten — jak zwykle — uśmiechał się nieznanym drganiem szczęk, ale i w jego twarzy coś się zmieniło. Kerton nie mógł w tej chwili nazwać tej zmiany, ale wiedział, że coś tam nie jest tak jak zawsze, że jest inaczej nawet niż pół godziny temu, gdy we czterech — z Mac Gleenem i Jimem O'Kelly — siedzieli w kantine, czekając na wzwanie do nocnego lotu. Mac Gleen, jakby go nie ta drańską historia nie obchodziła, manipulował coś przy zatrasku spadochronowym. Jim O'Kelly gapił się w niebo. Przy lękaniu śliny grdyka napinała mu sinawą od zarostu skórę. W zielonym świetle hangarów lamp wyglądał na jakiegoś uczyłwiezonego indora. Z maniakalnym uporem szukał swojej Wielkiej Niedźwiedzicy.

Kerton aż się zatrząsł z odrazy. Udają, czy rzeczywistość to ich nie obchodzi? Przecież to już drugi raz! Tymczasem temu było to samo. Gdy podszedł z nawigatorem do samolotu, by sprawdzić ładunek bomb, ten sam typek, który pętał się ostatnio koło Ashforka, wyjaśnił, że nie ma co sprawdzać, że wszystko okay. I znowu te bomby bez zapalników. Wtedy cztery, dzisiaj dwie. I strażnicy, których daw-

niej nie bywało. A przytem ten instruktaż z sali Sekcji Operacyjnej. Wysokość lotu przy zliczeniu 200 stóp, szybkość 200 mil na godzinę. I zapewne nie Reynolda, że niebezpieczeństwa nie ma, bomby nie wybuchają. Czy ci trzech udają, że nic nie wiedzą, czy gówno ich to obchodzi?

Jeszcze raz spojrzal na Lenocha. Tak, ten coś w sobie tamsi. Coś ma w twarzy nowego, albo czegoś w tej twarzy brak, co zwykle w niej jest. Ale co? Czego?

Sierżant Mac Gleen uporał się z swoją sprzączką. Indorowaty Jim uśmiechnął się nijako do gwiazd i splunął na asfalt. Powoli rozmazywał ślinę butem, jakby i to należało do jego filozoficznych medytacji. Zapalono światła w wylotu lądowiska. Le:och pianw-szy zaczął wlażyć po schodkach. Za nim — wypinając zadki — wślizgiwali się do samolotu odwybaj sierżanci. Kerton rozluźnił szalik i wdrapał się ostatni.

Gdy zatrzaśnięto drzwi, maszynę rozdygotał huk nagrzewanego motoru. Do okien przyglętnęła rozmazana mglistą mżawką noc. Kerton zahaczył mały palec lewej ręki o kciuk prawej i potrząsnął trzykrotnie. Uśmiechnął się z przymusem. Śmiejszna, kochana Betty! Tak go zaklinała, by pamiętał o tym odurczeniu. Uczyla go tych ruchów w ostatnią noc przed jego wyjazdem do Japonii. Udawał, że nie umie powtórzyć tak prostego gestu. Chciał dotyku jej dłoni, chciał na nią patrzeć, gdy naga pochylała się nad nim w poważnym, śmiejszym skupieniu. Była pewna, że ten magiczny spłot palców uchroni go od największych nawet niebezpieczeństw w kraju żołnierskich d.ąbów. Pież to kilometrów między słoneczną kalifornijską Pasadeną a tym podłym Kunsanem?

Przyglętnął czołem do szyby. Przycięzione światła Kunsanu ginęły w oddaleniu. Za ścianą huczała rozcinana motorami noc. Kerton zn:wu musiał zaciśnąć szczęka. Skuczała w nim złość. Dlaczego człowiek ze swoim krzykiem jest sam? A Betty rozchyła lekko usta w śmie. Wargi ma nabrzmiałe soczystą czerwienią, zęby wilgotne, oksydowane białym blaskiem.

Zaczyna się robić duszno. Zdjął szalik. W dole błysnęły światła Secongju. Wkrótce miną Incon, na lewo zostawiając Seul. Za godzinę przetną przylądek

Czopceki i na linii Sinczonu zaczął schodzić płaskim lotem do zrzutu w okolicach Hoandżu. Zna ten szlak niemal jak swoją North Mareng Avenue. Przeklęty szlak! Na dole nie czeka na jego B-26 ciepła jeszcze od snu Betty. Czekają za każdym lotem coraz głośniejsze naszczekujące zenitówki zółtych. Zarasana wojna!

— O key, masz rację! Ale nie krzycz tak głośno, nie wiadomo kto z nas trzech może o tym donieść podskakiwaczom z CIC-u — Lenocho mówił nie odwracając ani na chwilę oczu od drgającej skali wysokości. Kerton spojrzal na sierżantów. Indorowaty gapił się jak zwykle, Mac Gleen łapał radiografem komunikat z Czuksanu. Znużony kiwnął głową Lenochowi: dochodzimy do 38-go, na prawo Seul. Jesteśmy nad Czemułpo.

Kerton przyjrzał się bacznie Lenochowi. Co jest w tej twarzy nie tak jak zwykle? Fioletowe światło fosforujących wskazówek zegarów pogłębiało w niej zmarszczki, wąsik clarkgeblowski wyglądał na oszołomiany. Nie, to nie o światło jednak chodzi. I nie o zmarszczki.

Nagle — zaskoczony — zrozumiał. Lenochowi nie drgał ko skroni lewy kącik warg. Wszyscy przyzwyczaili się do nerwowego tiku w tej spokojnej twarzy i ten właśnie brak tak mu odmienił Lenocho.

Kerton poczuł nagły chłód. Sięgnął po szalik. Scena, której nie chciał, odżyła na tęczowe przystojniętych powiekami oczu. Znowu w nim zaskuczała złość.

Tamten żółty z rzyą bródka, Koreańczyk, wcale nie wyglądał na szpiega. Patrzył beznamiętnie w twarze otaczających go żołnierzy. Trwożliwie przyciskał do siebie młodego chłopaka, widocznie syna. Młec był przeraziłwie chudy, z przyspieszonym suchotniczo oddechem, który napinał mu widocznie spod rozchlestanego kubraka niemal przebijające przez skórę żebra. Zarzucił starca pytaniami. Nie potrafił wylumaczyć co robił w Ulsanie. A że złapano go w pobliżu zabudowań TEMCOMU — nie robiono ceregieli. Kiedy jednak doszło do wykonania wyroku, nikt się jakoś nie kwapił z odpinaniem kabury. I wtedy właśnie wystąpił Lenocho. Wziął chudzielca delikatnie pod rękę, odprowadził trochę na bok, Mac Gleen zdążył

trzeponać się ze strachu młokosa pchnąć lekkiem kopniakiem w mrok ulicy, gdy padł strzał. Chłopak z krzykiem oddał się w ciemnościach.

Lenoch zapiął pochwę — twarz jego była jakoś dziwnie zmieniona. Lewy kącik warg zapomniał na chwilę o swoim drganiu.

Kerton patrząc na nienormalnie spokojną twarz pilota otulał się szczerzej szalkiem. Motory grały równym, charkoliwym basem. W monotonny ryk powietrza za ścianami kabiny wznęła się chwilami ostre brzęczenie eskorty myśliwców.

Lenoch pochylał się niżej nad zegarami. Nie odwracając głowy warknął z udaną złością, choć w głosie drżało jakieś radosne podniecenie:

— Nie patrz się, jak sroka w gnat. Albo — patrz się, abys się napatrzył dowoli. To mój ostatni lot. Jeszcze parę punktów mam do odrobienia i good bay! Dzisiejsze pakuneczki liczą nam podwójnie...

W słuchawkach coś zatrzępotało piskliwie, lecz zanim skrzek uformował się w słowa, wszyscy czterej poprawili się odruchowo w fotelach. Z głębokiego dna nocy wytrysnęły reflektory, ostrymi nożycami strzępiąc ciemność. Wizgotliwe brzęczenie eskorty myśliwców rozproszyło się w kilku kierunkach.

Jim-Indor rozchylił usta. Mac Gleen pomacał sprzączkę spadochronu. Kerton zaczepiając mały palec lewej ręki o kciuk prawej zaniepokował się kamienną twarzą Lenocho.

B-26 płaskim lotem schodził do celu bombardowania w rejonie Hoandżu.

II.

Ból żgał tepym klinem gdzieś między lewym barkiem i łopatką. Uniósł się więc na prawym łokciu i wlepił oczy w mrok. Górą szedł jeszcze oddalony pomruk. Burza? Skąd burza? Przecież leży śnieg. Śnieg? Skąd śnieg? Dlaczego tyle śniegu?

Machinalnie podniósł złodowaciała grudek do ust. Zapiękło zimnem. Mrok jakby ział. Kerton namacał zgrabiałymi palcami poplątane linki spadochronu,

„HIOB NA ŚMIETNISKU WSPÓŁCZESNEJ KULTURY”



Chusta św. Weroniki

GWARNE, zadymione wnętrza paryskich kawiarni, to od blisko stu lat wylęgarnie nowych kierunków artystycznych. Pisarze i poeci, stali bywalcy, a raczej mieszkańcy, występowali w nich jak na arenie w roli uprzywilejowanych eksponatów gatunku ludzkiego. Dla malarzy stolik kawiarniany spełniał funkcje akademii. Odkąd zaczęli ignorować wiedzę malarską, wykładaną przez sędziwych, brodatych profesorów, zbierali się słuchać Maneta, który królował w kawiarni Guezois. Później nauczycielami i mistrzami zostali Monet i Pissarro, a z biegiem lat w kolejnym rozwoju sztuki i doktryn malarskich miejsce ich zajęli Gauguin, Signac, Matisse czy Picasso. Od Montmartre do Montparnasse, od Lapin Agile do Closerie de Lilas, kawiarniane audytoria zawsze chętnie słuchały głosicieli nowej estetyki. Koniec pierwszej wojny światowej i napływ turystów przekształcił lokale w ogrody zoologiczne, gdzie artystów z podziwem czy wzdrganiem oglądały tłumy ciekawych. Rola kawiarni nie została jednak umniejszona. Impresjonizm, dywizjonizm, symbolizm, kubizm narodziły się przy kawiarnianym stoliku. Tam lansowano nowe kierunki i wytyczano z góry ich rozwój. Kawiarnia przyczyniła się bardzo do tego, że ostatnie sto lat w historii francuskiego malarstwa to okres zbiorowych wystąpień i manifestów, okres bardzo prędko zmieniającej się mody na pewne gatunki malarskie masowo uprawiane.

W tym czasie, na tle skoszarowanych w obozy artystów, pojawia się samotna postać — Georges Rouault. Oddany religij katolik w wieku, gdy powszechniejsze były wśród malarzy uczucia przeciwne — obojętność czy wrogość względem spraw wiary. Malarz, którego twórczość zawiera

głęboką problematykę, uderza siłą oceny moralnej na tle przeważającego w sztuce mniej czy bardziej powierzchownego estetyzowania. Artysta o ograniczonej wizji i bezgranicznej pasji. Człowiek, do którego pasuje dosadna wypowiedź, jaką on sam określił katolickiego pisarza Leona Bloy'a — swego duchowego przewodnika w młodości — „wymiotuje swoją epokę”.

Narodził się Rouault w maju 1871 roku, podczas bombardowania Paryża, w atmosferze grozy, przy huku rozrywających się pocisków, mogłyby zapowiadać charakter jego malarstwa. Ważniejszym a mniej romantycznym faktem z jego młodości jest opieka dziadka, pod którego okiem wzrastał chłopak. Dziadek ubóstwiał Rembrandta, Courbeta i Daumiera. Pragnął, by jego wychowanek też został artystą. W wieku czternastu lat Rouault zostaje czeladnikiem w warsztacie wyrabiającym witraże. Praca w tym rzemiośle zażyła na jego późniejszej twórczości. Rouault sam pisze: „Powiedziałem, że moje malarstwo przypomina



Pejzaż z cyklu „Wojna”

Szarpnął nim gwałtowny strach. Ile czasu już tu leży? Godzinę? Pół? Dwie? Zaczął mięsić zeszywniały na mrozie jedwab. Tępy klin bólu wlał głębiej. Zgał już gdzieś pod pachą. Kerton mocował się z wielkim tobolem. Wśród linek zaplątała się gdzieś jedna rękawica. Palce drętwiały na śliskim jedwabiu. Na czołe szronem osiadał zimny pot.

Prędej! Prędej! Zaraz znajdą. Będą kuli szpilkami w oczy, ogień wepchną do nozdrzy. Stanie się to, o czym opowiadał ten przekłętą Ashfork Prędej! Na miłość Boską, prędej. Wepchną gdzieś spadochron pod drzewo czy kamień. Uciec. Uciec. Był gdzie, byle dalej stąd, byle dalej od nich. Nagle osłabł. Przecież oni są naokoło. Może już go dochodzą. Może sam im wlezie w łapy. Otoczą go i zatłką jak psa. Umęczą. Co robić? Co robić? Dokąd iść?

Bezsenownym gestem odpiął kaburę. Gładka rękojeść pistoletu sparzyła mrozem dłoń. Dobiegł go jakiś głos. Najeżył się, słysząc w pobliżu warkliwy pomruk. Chrypiało coś niemal obok niego. Wstrzymał oddech. Tamten też się przycałił. Cisza. Kerton odetchnął. Za wcześnie. Znowu usłyszał chrapliwy szmer. Dopiero po chwili pojął, że to on sam rzeź przez ściśniętą spazmatycznie krtani.

Rozluźnił szalik. Schował broń. Nawet spojrzął na zegarek: 4.05. Dźwięknął się z kotlinki, w którą zawlókł go pęd spadochronu. Ciepłkie gorąco bólu rozlało się po ramieniu. Kulejąc na zeszywniałych nogach dotarł do jakiegoś pniaka i znowu opadł bez sił.

Wiedział, że dalej nie pójdzie, że coś od niego odeszło, że rzucają nim dreszcze, a żeby dzwonią jak łyżeczka w szklance. Czuł siebie jako coś obok, a jednocześnie nie mógł wyciągnąć dłoni, aby dotknąć samego siebie. Myśli łatwo układały mu się w słowa. Nie był pewny jednak, czy wypowiada je głośno, czy tylko zapisuje myśleniem.

Schodzili do płaskiego lotu, już po wyrzuceniu dwóch ładunków „Suprepu” i czterech napalmowych,

charakterem witraże. Przyczyną tego jest prawdopodobnie początkowy mój zawód. Praca polegała na czuwaniu nad paleniskiem i sortowaniu małych kawałków szkła, które wypadły z okien przyniesionych do naprawy. To drugie zajęcie rozbudziło we mnie głęboką miłość do starych witraży”.

Cechy techniki malarstwa Rouaulta, kojarzące się najbardziej z witrażem — mocne zestawienia czerwieni, błękitu i zieleni i ciężki oprowadzający kontur — pojawiły się wprawdzie dopiero w wiele lat po pracy w warsztacie. Bardzo możliwe, że wystąpiły one w okresie, gdy artysta był pod silnym wpływem osobowości i pism namiętłego obrońcy średniowiecza — Bloy'a. Ten wpływ duchowy osiągnął największe natężenie w latach 1903—4, kiedy to błękit i czerwienie w obrazach Rouaulta nabrały gotyckiej intensywności. W parę lat później pojawiły się dalsze cechy zwiększające analogię między malarstwem Rouaulta a XII i XIII-wiecznym witrażem — gotycka deformacja i stylizacja.

Rouault studiował w Ecole des Beaux-Arts razem z Matissem w pracowni Gustawa Moreau. Z profesorem łączy go wiele wspólnych poglądów. Jest jego ulubionym uczniem, a po śmierci wybitnego pedagoga w roku 1898 zostaje dyrektorem Musée Gustave Moreau. O ile jednak zainteresowanie Moreau malarstwem religijnym ograniczało się do malowania płócien powierzchniowo naładowanych ikonograficznymi detalami, religia dla Rouaulta miała stać się podstawą malarskiego tworzywa i artystycznych wzruszeń. W poszukiwaniu głębszego wyrazu dla swych stale umacniających się przekonań religijnych, znajduje natchnienie w twórczości dwu katolickich pisarzy schyłku XIX wieku we Francji: Ernesta Hello (1828—1888) a przede wszystkim Leona Bloy'a (1846—1917), z którym się blisko przyjaźnił (1903). Wpływ filozofii tych pisarzy na decydującą znaczenie dla charakteru twórczości

Rouaulta. Zapoczątkowuje okres tragicznego malarstwa, o którym André Suarès powiedział, że działa „tak, jak dokonywanie egzorcyzmów”.

Hello w swych pismach domagał się, by sztuka piętnowała zło. Zwalczając gatunek pseudo — religijnego malarstwa, które wykorzystywało temat np. męczeństwa św. Sebastiana dla zręcznej ekspozycji malarskich środków i umiejętnej techniki. „Zadaniem sztuki” pisał „jest oddać prawdę — prawdę religijną”. Między Rouaultem a jego duchowymi przewodnikami wynikły nieporozumienia już z chwilą, gdy malarz zaczął wyrażać przy pomocy środków plastycznych ich idee i wskazówki. Bloy oburzał się na jego wybitnie indywidualne malarstwo. „Artysta, o którym myśleliśmy, że posiada umiejętność malowania serafinów, wydaje się nie myśleć o niczym innym, jak o okropnościach i przejawach karykaturach, Rouault jest zainteresowany brzydota, ohyda przewróciła mu w głowie”. Była to reakcja na obrazy ukazujące z niezwykłą ostrością ludzką nędzę i poniżenie. Malarz szukał tematu w otaczającym go środowisku. Malował rzeźników z rue de Fourneaux i opuszczonych nędzarzy z paryskich slumsów. Malował clownów oglądanych na fête de Grenelle i odkrył nędzę schowaną pod szminkami na ich groteskowych twarzach. Malował prostytutki z Paryża i Wersalu — symbole najniższego upadku i najpotworniejszej degeneracji. „Nikt nie potępił prostytucji z większym oburzeniem i z większą pasją”, pisze Raymond Escholier, „nie dokonał tego autor „Kaprysów”, ani De Gas, ani nawet Toulouse — Lautrec”. Mimo że obrazy te przypominają nieco prace Lautreca, obca im jest typowa cecha tamtych: — perwersyjne zasmakowanie w zwyrodnieniu. Toulouse — Lautrec był cyniczny, Rouault przeciwstawia mu lzy i wściekłość.

Salon d'Automne w roku 1905 to pierwsze publiczne wystąpienie Rouaulta. Wystawia razem z grupą młodych malarzy, nazwanych „fauvistami”, nie jest jednak z nimi formalnie związany. Tematyka obrazów Rouaulta była niezwykła i drażniąca dla publiczności przyzwyczajonej do pejzaży Moneta czy elegancji Renoira. Na tle dekoracyjnego ekspresjonizmu fauvistów, wykorzystujących maksymalnie technikę van Gogha, Rouault ukazał ekspresjonizm psychologiczny, ostrzejszy i dobitniejszy w wyrazie. Protest publiczności przeciw wystawionym obrazom Deraina czy Vlamincka uzasadniony był zewnętrznym charakterem ich malarstwa i dowolnością interpretacji przyrody. Jakże jednak wzburzenie wywołał Rouault przed-

stawiając clownów, wspominanych z okresu dzieciństwa, wesołych pajaców, jako smutne, płaczące kreatury, melancholijnych świadków społecznego rozkładu, a dziewczęta filles de joie — jako potworne, odpychające uosobienie ohydy. Ekspresja pozostała cechą malarstwa Rouaulta, wprawdzie nie w tak ostrej formie, jak w pierwszych wystawionych pracach. „Subiektywni artyści — to ludzie jednoocy, ale

między innymi „Miserere et guerre” — protest przeciwko okropnościom wojny i satyrę na bogate mieszczaństwo. W innym cyklu ukazuje nędzę proletariackich przedmieść.

Od roku 1929 twórczość Rouaulta wykazuje zainteresowanie tradycją historyczną i tematyką ściśle religijną. W scenach religijnych i obrazach przedstawiających Chrystusa odzywa się echo malarstwa bizantyjskiego i głęboki patos Grunewal-



Ukrzyżowanie

artyści obiektywni to ślepcy” — pisze Rouault, wróg intelektualizmu cechującego zachodnią współczesną sztukę.

Dalsze prace Rouaulta (1905—11) osiągały ogromną potęgę demaskatorskiego okrucieństwa. Ich satyra i ostra karykatura przypomina Goyę i Daumiera, a siła wyrazu i wigor — van Gogha. Satyryczne obrazy przedstawiają sędziów, którzy dla Rouaulta, tak jak dla Daumiera, byli symbolem rozkładu burżuazyjnego społeczeństwa, symbolem sprawiedliwości, która stała się parodią.

Forma obrazów staje się bardziej zwarta, sposób rysowania grubym konturem — silniejszy i bardziej lakoniczny, kolor — bogatszy.

W latach 1918—28 artysta zajmuje się wyłącznie grafiką. Wykonuje kilka wielkich cykli graficznych,

da. Poważne, skupione, dostojne w charakterze kompozycje — „Chrystus wymiewany przez żołnierzy”, „Stary król”, nie wykazują już pierwotnej żywiołowości, a ich ładunek emocjonalny jest kontrolowany doświadczeniem dojrzałego artysty. Nie osłabło to jednak siły wyrazu, a technika malarska i intensywność, grubo nakładane warstwy koloru przypominają wyraźnie witraże wielkich gotyckich katedr. Figury nie są po prostu narysowane — są otoczone, wpojone w płaszczyznę obrazu grubym, kanciastym, twardym konturem, wewnątrz którego jarzy się kolor z równą intensywnością i blaskiem jak w witrażu. „Życie moje upłynęło na malowaniu myłków — oświadczył Rouault — teraz powinienem mieć prawo do malowania jutrzeńki”.

gdy złowiła ich sieć reflektorów. Lenocho usiłował wymknąć się raptem świecą, ale tamci trzymali ich w skrzyżowaniu światła jak w kleszczach. Celny strzał trząsnął maszyną jak spazm. Pierwszy skoczył ze spadochronem do drzwi ten indorowaty. Potem Gleen. Potem on. Lenocho na końcu. Dobrze, że uprzednio nabrali trochę wysokości, bo inaczej nie byłoby co zbierać. Tak. Lenocho to dobry pilot. No, wiadomo „Aviation Cadets”. Dzięki niemu...

Kerton stwierdził z nagłym przerażeniem, że słyszy swój śmiech. To dobre! Siedzi gdzieś w tym parazywym Hoandżu, między Phenianem i Seulem, między Morzem Żółtym i Japońskim, między śmiercią i życiem i śmieje się na myśl, że dzięki Lenochowi czeka na pniaku, aby tamci z opowiadań Ashforka przyszli obcinać mu uszy, wyszarpywać język, miażdżyć genitalia. Rzeczywiście, jest się z czego śmiać!

Zeszywniał w lęku. A może to — koniec? Może zwariował? W bazie lotniczej w Craig doktor Mendding opowiadał o wstrząsach tego rodzaju. Mówił, że zdarza się to przy zbyt niskich skokach.

— Trzeba wtedy sprawdzić swoją normalność przez kontrolę pamięci. Podać własne personalia, przypomnieć tabliczkę mnożenia, jakiś fragment wiersza, tytuły filmów. Jednym słowem — nawiązać łączność z opuszczoną rzeczywistością.

— Doktorze Mendding! Tu mówi Jack Kerton, urodzony 16 kwietnia 1922 roku w Pittsburgu, w stanie Kansas, porucznik lotnictwa amerykańskiego, baza K-8, 513 eskadra VME, numer dowodu wojskowego 17933 A... Quidquid agis prudenter agas, et respice finem. Pierwsze — nie będziesz miał bogów cudzych przede mną. Drugie — nie pamiętam, następnych zapomniałem. Ostatnio widziane filmy: „Czerwone niebezpieczeństwo”, „Czerwony Dunaj”, „Żelazna kurtyna”, „Obława na szpiegów”, „Tajny agent”, „Johny — szpicel”...

Porucznik Kerton usiłował sobie przypomnieć początek sonetu Szekspira, gdy raptem jasność zawisła nad niedalekim wzgórzem. Rakietą powoli gasła, spadając zwiędłymi płatkami światła. Zerwał się zdobywszy nagle siły i zdolny do ucieczki. Biegł, padał, wstawał, gardziel rozsadzał mu suchy, zadyszany

szloch. W głowie huczało krwią, ramię rwało jak obnażony w zębie nerw. Nie czuł nic. Nie widział nic. Uciekał przed światłem. Powalił go na ziemię zrąbaną pień czerwonej sosny. Skąpy lasek na wzgórkę wydał się upragnionym schroniskiem. Osłabienie nakazało spokój. Odcylił zębami rękaw nad fosforyzującą tarką zegarka: 4.05. „Stoi” — stwierdził bez potrzeby, lecz z nieuzasadnioną ulgą, jak gdyby razem z pogiętymi wskazówkami zatrzymał się czas.



rys. Andrzej Pol

Dotknął językiem warg. Nie pamiętał, kiedy je rozgrzył do krwi. Zlizywał teraz słodkawą sioność obłożonym jak w gorączce językiem.

Znowu poczęły nim targać dreszcze. Pod suchymi jak papier powiekami strzelały czerwone, migotliwe błyski. Ruchome punkciki układały się w trójkąty i koła. Dużo kół. Dużo trójkątów. I ryba. Prawdziwa ryba. Skąd ryba? Nie wierzył dotykowi rękawic. Obnażył dłoń, Śliśki, łuskowaty karp gibał mu się

w rękę elastyczną martwo. Obok drugi. Już zeszywniał na mrozie. I trzeci. Skąd tu ryby? Ryby na wzgórzach? Wśród drzew? W połowie stycznia?

Znowu lęk. Może jednak — zwariował? Ale ryba nie znikła. Scisnął ją lekko w dłoń. Zbliżył ku oczom zasypianym od zamętu gorącym piaskiem. Zobaczył wielki, wybaluszony, mgłą już zasnutą ślip karpia. Co za kraj, co za czas, co za ohyda! Karpie, śnięte karpie patrz na ciebie wśród nocy.

„Muszę mieć dużą gorączkę. Ale żeby aż tak...” Nagle chlasnęła go jak szpicrutą spóźniona o sekundy myśl. W połowie zdusił krzyk. Mignęła mu we wspomnieniach twarz Ashforka, bezczelna gęba strażnika na kunsaltarskim lotnisku, zakłócało wszystko, rozbiegło się i zestrzeliło znowu jak neon na Broadwayu.

Odrzucił karpia z dygotem wstrętu. Nabral na dłoń śniegu i zaczął go wcierać w splugawioną rękę, odgryzł kawałek kory z pobliskiego pnia i jak pumekiem szorował krwawiące już palce. Znow śnięty pod śnieg. Chciał zgarnąć go jak najwięcej. Poczuł pod palcami wzdęty brzuch rybi. Pisanął przeraźliwie, męcząc i runął głową w mrok. Przekoziłkował po zboczku pagórka i ugrzązł wśród zeschłych badyli lindzieju. Powoli zastąpił w nim rozdrągnany jak struna dygot.

Stuk krwi rósł ponad wszystko. Noc zaczynała rzednąć. Poświata sła wąskimi przesmykami wśród drzew. Ruszył naprzeciw niej, chociaż zaciła się za nią lawica śniętych karpie, które patrzyły wylupianym, zamglonym pośmiertnie okiem.

„Nie gniewaj się, Betty, że idę na gumowych nogach. To ten Lenocho tak mnie urzął. Piliśmy cholernie mocny gin. Pod tego karpia, co to wiesz...”

Szedł opierając się o napotkane drzewa. Gdy zza pnia zagrzmiął okrzyk — Sot — gumie? — Kerton nie potrzebował tłumacza. Podniósł rękę do góry, ale natychmiast lewą opuścił, nie wytrzymał bólu. Spojrzył matowo w skośne oczy żołnierza, przebiegł bezmyślnie wzrokiem po jego watowanym tubusie i, jakby w mimowolnym pokłonie pochylił głowę, zważył się nieprzytomny w śniegu u jego stóp.

(Dalszy ciąg w numerze następnym)

O „NADZIEI ZA DWA GROSZE” I INNYCH NADZIEJACH

JEST w tym filmie wiele krzyku, wymachiwania rękami, wiele prostoty i nieprzepracowanej prawdy o życiu. Mówi on o sprawach zwyczajnych i niewymyślonych. Nikomu, kto widział „Nadziei za dwa grosze”, nie przyjdzie na myśl, że tak nie było, że tak być nie mogło, jak było w tym filmie. O sprawach ludzkich, o prostej historii miłości biednego Antonia i Carmeli dowiadujemy się od nich samych.

Nie ma w tym filmie sztucznych ozdób ani upiększeń. Tę filmową opowieść wyreżyserowało życie samo, a całą mądrością reżysera było, że umiał wnikliwie przypatrzeć się ludziom, zdarzeniom i im oddał pierwszeństwo w kształtowaniu obrazu. Ten szacunek dla człowieka i wiara w życie, pozwoliły reżyserowi Renato Castellaniemu na stworzenie filmu bez pozy i sztuczności — przemawiającego wprost do uczuć i wyobraźni widza.

I.

RZECZY wielkie dzieją się wśród ludzi prostych. Nie ma na świecie spraw większych, piękniejszych lub gorszych, niż życie, miłość lub bieda Antoniów. Artysta, który dziś podejmuje temat miłości i nędzy musi pamiętać, że z tego nie da się zrobić pięknego cacka — jeśli będzie chciał mówić prawdę. Musi pamiętać, co na ten najstarszy temat wiemy — jeśli będzie chciał stworzyć dzieło o wartościach nowych i trwałych.

Po obejrzeniu tego obrazu jesteśmy bogatsi o świat przeżyć ludzi, którzy kochają się, żyją i kłócą u stóp Wezuwiusza. Nie patrzyliśmy na nich tylko i nikt nam o nich nie opowiadał — byliśmy z nimi po prostu.

Po obejrzeniu „Nadziei za dwa grosze” wiemy więcej o sprawie miłości i więcej o sprawie nędzy.

Film „Nadziei za dwa grosze” jest pierwszym poważnym osiągnięciem reżysera Castellaniego, który należy do młodszego pokolenia włoskich twórców filmowych. I choć można by w nim znaleźć usterki, lub rozwiązania realizatorskie budzące wątpliwości — w ostatecznym wyniku jest on jednak zbyt nowatorski, zbyt świeży i śmiały artystycznie, aby warto było mówić o drobiazgach.

II.

O metodach pracy włoskich filmowców, o tym, jak pojmują swoje obowiązki twórcze, mówi wiele szczerza wypowiedź samego Castellaniego, który tak pisze o swojej pracy nad „Nadziei za dwa grosze”:

„Nie jestem autorem scenariusza. Realizując film „Wiosna”, którego bohaterem był żołnierz, przeżywałem często w koszarach wojkowych. Poznałem tam młodego chłopca, Antonia, odbywającego służbę wojskową, którego chciałem początkowo zaangażować jako aktora i — chociaż zrezygnowałem z tego — zaprzyjaźniłem się z nim. Potem zaproponowałem mu współpracę nad scenariuszem.

Przez opowiadania Antonia przeżywała się stała historia całej ludności okolicy, w której mieszkał. Mówił dużo z naiwną poezją, ze swoją wiarą i zacięciem humorystycznym. W swojej dzielnicy spełniał rolę porucznika: bezustannie spadły na niego przedziwne katastrofy, o których w niezrównany sposób opowiadał.

Nakręciłem swój film w małej wiosce Boscotrecase, położonej na zboczach Wezuwiusza, według scenariusza, który podyktował mi mój przyjaciel Antonio. Dzieci na ulicach wioski miały charakterystyczny wyraz głodu w oczach. Bezrobocie — ta plaga Włoch — w Neapolu jest najbardziej widoczna. Dlatego stało się ono problemem mojego filmu.

Pracowałem nad filmem pół roku, scenariusz przygotowywał przeszło rok. Znalazłem wszystkich molch aktorów na ulicy, oprócz dwóch, których zaangażowałem z teatryku.

Mój zakrytan jest prawdziwym zakrytanem z Boscotrecasy, małym człowieczkiem, tak słabym, że musieliśmy go przynosić na zdjęciu. Moim proboszczem był rzeźnik miejscowy. Kostiumy kupiłem pod Neapolem, w wiosce zamieszkałej przez handlarzy szmat.

Mimo głodu i nędzy panujących w tych okolicach, mieszkańcy mają tu kult świąt, tradycję, śmiechu i zabawy. Przy każdej okazji organizu-

je się wielkie zabawy z fajerwerkami i pochodami.

Ludzie, z którymi pracowałem — Antonio i jego rodacy — dali mi prawdziwą lekcję optymizmu, humoru i zdrowego rozsądku. Mój film podyktował mi właściwie lud moje-

ona z biernością, wymagając od widza postawy czynnej. Historia Antonia i Carmeli z „Nadziei za dwa grosze” nie rozgrywa się tylko według rygorów dramaturgii. Ma swoje przedłużenie w życiu. Tu nie ma miejsca na fikcję, bo

magal ten film pełen prostoty. A tak jest prosty, iż wydawać się może, że powstał sam — bez reżysera, bez dramaturgii, bez aktorstwa i bez komponowania obrazów. Kunstszność jego formy, umiejętność warsztatu realizatorskiego polega na tym, że jest niewidoczna.

Obraz Castellaniego jest komedią, która budzi śmiech przez łzy. Rzeźczy radosne i rzeczy smutne dzieją się tam razem i na przemian, tak jak je układa życie. Nie trzeba dowodzić, ile opanowania rzemiosła filmowego i odwagi twórczej wymaga taka koncepcja obrazu.

Wiara w ludzi i szacunek dla ludzi sprawia, że „Nadziei za dwa grosze” jest filmem afirmującym życie. Antonio i Carmela mają prawo wierzyć w zwycięski koniec walki o swoje szczęście, choć miłość poczęła się wśród wielkiej niedoli i społecznej krzywdy. Ludzie, którzy mają świadomość zła — dają sobie z nim radę. Taka jest ostateczna wymowa filmu.

IV.

KIEDY przypomniemy sobie takie sceny z filmu „Nadziei za dwa grosze”, jak spowiedź dwóch świętek, jak sprzedaż koni na targu, czytanie listu od syna, szczególnie zaś ten moment, gdy Antonio pomaga nędznym szkapom ciągnąć dorożkę pod górę. Kiedy przypomniemy sobie te kapitalne portrety obyczajowe, z których niejednemu jest całym studium o człowieku i porównamy to z wypowiedzią Castellaniego, który mówi skąd brał aktorów do swego filmu — staje przed nami pytanie, w jakim sposób zdołał osiągnąć tak wspaniałe wyniki?

Metoda pracy reżysera z „człowiekiem z ulicy” jest całkiem inna niż z zawodowym aktorem. Inne są wartości, które można osiągnąć stosując rzemiosło aktorskie i są wyniki, do których nie można dojść polegając tylko na aktorstwie.



Scena z filmu „Nadziei za dwa grosze”

go kraju. On jest jego twórcą i prawdziwym bohaterem” (cyt. za tyg. „Film” nr 9).

III.

SILA i wartość postępowego nurtu kinematografii włoskiej polega między innymi na tym, że walczą

obraz nie przedstawia tego, co było, albo tego, co będzie — mówi o tym, co jest. Ta teraźniejszość ukazywana w wymiarach historycznych, to jedno ze znamion wielkości włoskiej sztuki filmowej.

Wiele umiejętności i talentu wy-

KILKA SŁÓW

wykonali III Koncert Beethovena oraz III Koncert Prokofiewa wzbudził ogromne zainteresowanie, zarówno wśród publiczności, jak i wśród krytyków artystycznych. Znana recenzentka muzyczna tygodnika „Les lettres francaises” Helena Jourdan-Morhange pisze, że nie wystarcza już superlatywów, aby oddać osiągnięcia muzyki radzieckiej, należy tylko podziękować Paryskiej Agencji Literackiej i Artystycznej, że ułatwia ona poznanie sztuki tych wielkich artystów.

25 PIOSENEK YVES MONTAND

Ulubiony piosenkarz Paryża, Yves Montand, nagral obecnie na płytach 25 nowych piosenek. Recital piosenki odbył się w Théâtre de l’Etoile i był nagrywany „na żywo”, to znaczy, że rejestrowano również reakcje publiczności, jej śmiech i oklaski. Jeśli idzie o talent interpretatora, jak i szeroki zasięg realizacji, nagrań to jest dużym wydarzeniem muzycznym bieżącego roku. Koperety do płyt ozdobione są ładnymi rysunkami Jean Effeł.

KONCERTY DAWIDA OJSTRACHA W NIEMCZACH

W połowie lutego odbywały się w Dreźnie i Berlinie koncerty wybitnego skrzypka radzieckiego Dawida Ojstracha. Na koncercie w Dreźnie, który odbył się w okresie 4 Zjazdu Kulturbundu, Ojstrach wykonał utwory Mozarta i Czajkowskiego. 14 lutego skrzypce radziecki w gmachu Państwowej Opery w Berlinie dał koncert skrzypcowy Chaczaturiana. Występy wybitnego skrzypka cleszyści tej niesłychanej popularnością nie tylko wśród mieszkańców zachodniego Berlina, ścignęły one również miłośników muzyki z zachodnich Niemiec.

D. Ojstrach ma zamiar odbyć tournée po wielu miastach niemieckich i dać koncerty m. in. w Hamburgu, Düsseldorfie i Kolonii.

Dnia 10 lutego

RUCHOME WYSTAWY GALERII TRZETJAKOWSKIEJ

Sławna „Galeria Trzetajowska” w Moskwie organizuje od dłuższego już czasu wystawy ruchome docierające niejednokrotnie do dalekich nawet ośrodków Związku Radzieckiego. Tak np. ogromnym powodzeniem cieszy się obecnie wystawa 200 z górą prac malarstwa rosyjskiego w XIX zorganizowana w Rydze. W tym samym czasie sto kilkadziesiąt prac z dziedziny malarstwa, rzeźby i grafiki skierowanych zostało do Szwajcarii. 85 prac zostało wystawionych w najbliższym czasie w Kiszyniowie. Zbiory galerii służą również stałemu wzbogacaniu poszczególnych muzeów. Tak np. Gruzińskie Muzeum Sztuki Pięknej otrzymało niedawno z Galerii Trzetajowskiej 20 obrazów o tematyce staroruskiej: pędzla Wasniecowa, Polonowa, Lachowskiego itp.

WYSTAWA GRAFIKI W MOSKWIE

Dnia 10 lutego w Domu Plastyka w Moskwie otwarta została wystawa „Prac reprezentująca twórczość ośmiudziesięciu przeszło radzieckich artystów grafików”. Wystawa gromadzi trzysta z górą prac graficznych w akwarieli, tuszu, rysunku piórem, węglem, ołówkiem itp. Od strony tematycznej wystawę cechuje duża różnorodność. Obok scen z życia Lenina (Sokolow) pejzaże Moldawii, Krymu, Uzbekistanu i widoki okolic Moskwy (Smilenow), marynistyka (Bibikow), karykatury (Prorokow), seria ilustracji do Eugeniusza Oniegina (Timoszenko), seria rysunków pt. „Pod dachami Paryża” (Pinskiwicz) itp.

o filmie

MARCEL CARNE KRĘCI NOWY FILM

Marcel Carné, znany reżyser francuski, twórca słynnego filmu „Teresa Raquin”, nagrodzonego na tegorocznym Biennale w Wenecji, przygotowuje obecnie nowy obraz pt. „L’air de Paris” (Powietrze Paryża). Role główne reżyser powierzył artystom: Jean Gabin i Roland Lesaffre.

„ULICA UBOGICH KOCHANKÓW” WESZŁA NA WŁOSKIE EKRANY

Na ekrany kin włoskich wszedł obecnie nowy film Carlo Lizzani „Ulica ubogich kochanków”, nagrodzony według źródeł w Polsce powieścią Vasco Pratolini. Zarówno reżyserzy Hollywoodu,

moraina faszyzmu i herolczna odwaga tych, którzy mu się przeciwstawiali, przedstawiano są z dużym realizmem.

FILM O SCHUBERCIE

W 125 rocznicę śmierci wybitnego kompozytora wiedeńskiego Franciszka Schuberta nagrodzono w Austrii, w reżyserii Kolm-Viellem i wg. scenariusza Carle Merze, film o życiu i dziełach tego wybitnego kompozytora. W roli głównej wystąpi Heinrich Schweiger.

FILM DOKUMENTACJA OSIĄGNIĘĆ CHOREOGRAFII

Ostatnio weszła na ekrany miast Związku Radzieckiego film pt. „Mistrzowie baletu radzieckiego”. Film zawiera fragmenty takich arcydzieł choreografii, jak „Jeziorno łabędzie”, „Fontanna Bakczyszaraju” i „Plomien Paryża”, w obsadzie najwybitniejszych artystów baletu radzieckiego (Ulanowa, Duzinskaia, Pilszckaia, Czabukiani, Stiergiejew i in.). Krytyka radziecka podnosi wartość tego obrazu jako dokumentu osiągnięć sztuki choreograficznej w ZSRR, podkreślając szlachetność, że jedynym dziś właściciel

tylko w swojej ojczyźnie, lecz i poza granicami Niemiec — zmienił na początek bieżącego roku format, częstotliwość wychożenia, a także i nazwę.

Obecnie wychodzi jako dwutygodnik pod nazwą „Der Film-Spiegel”.

ARCYDZIEŁA TEATRU ROMANTYCZNEGO

według polskie sceny w Roku Mickiewicza 1955-56. Zainaugurację 26 listopada 1955 r. w Warszawie nowa inscenizacja „Dziadów”. Wystawione zostaną m. in. również „Kordian” Słowackiego i „Nieboska komedia” Krasińskiego.

„OBERON” W OPERZE PARYSKIEJ

Piękną baśniową operę Webera, osnutą na poetyckim dziele niemieckiego romantyka Wielanda, wystawiła z dużym powodzeniem Opera paryska w inscenizacji M. Lehmana. Bogato rozbudowana strona baletowa (Lifar, Aveline, Lander), oprawa plastyczna rozwinęta z wielką inwencją i fantazją (D. Macles) — doprowadziły aż do pewnego przełomu w sztuce operowej, w którym ponadto głośno uwerturę przesunęli do dobra spóźnionych na początek aktu II. Wśród wykonawców wyróżnili się Constantina Araujo, Denise Scharley (Pulk), Romagnoni jako Oberon oraz Roger Bourdin, orczy Schetzasmln.

o wszystkim

POWROT POLSKICH DZIAŁACZY KULTURALNYCH Z CHIN I WJETNAMU

20 bm. powrócił do kraju po pięcioletnim pobycie w Chinach Ludowych i Wietnamie wybitny artysta, sekretarz Związku Polskich Artystów Plastyków, prof. A. Kobzdej, i laureat Nagrody Państwowej, literat Wojciech Żukrowski.

UROZCZYŚCICI KU CZCI ŚW. AUGUSTYNA

Upływa 1600 lat od urodzin wielkiego teologa i doktora Kościoła, św. Augustyna (354-430). W związku z tą rocznicą odbędzie się w Afryce, gdzie urodził się, żył i działał św. Augustyn, uroczystości ku czci tego wielkiego myśliciela katolickiego.

Podobne uroczystości odbędzie się również w Pawli (we Włoszech), gdzie znajduje się bazylika kanoników regularnych św. Augustyna, przechowująca relikwie świętego. W Paryżu ma się odbyć kongres augustiański z udziałem historyków, filozofów i teologów pracujących nad poznaniem dzieł św. Augustyna.

PRASA ZAGRANICZNA O JUBILEUSZU J. IWASZKIEWICZA

Wiele pism zagranicznych poświęciło artykuły w rocznicę Iwaszkiewicza w związku z jego jubileuszem. M. in. ukazał się w „Literaturnoj gazecie” artykuł N. Tichonowa pt. „Za umiowanie pokoleju i wiarę w człowieka”, w którym autor omawia twórczość Iwaszkiewicza oraz jego działalność w obronie pokoju. Również w „Ogonku” zamieszczono artykuł M. Ziłwowa o drodze twórczej Iwaszkiewicza.

Czechosłowackie pismo literackie „Literarne noviny” w ostatnim numerze zamieściło też artykuł omawiający dorobek twórcy Iwaszkiewicza.



Scena z filmu „Ulica ubogich kochanków”

Jak i Visconti oraz Giuseppe de Santis pragnęli nakręcić film według tej książki, bali się jednak trudności wynikających z jej niesychanie rozstrzelone akcji i niespełnionych. Lizzani przewidywał jednak te trudności i stworzył arcydzieło filmowe-żywe i bogate. Wszystkie motywy indywidualne koncentrują się w bardzo prawdziwym obrazie życia włoskiego w latach może najbardziej tragicznych w historii tego kraju. Nędza

sposobem utrwalała osiągnięć choreografii jest film. Daje on przy tym możliwość oglądania arcydzieł baletu tam, gdzie on dotrzeć nie może.

„DER FILM-SPGEL” — NIEMIECKI DWUTYGODNIK FILMOWY

Popularny miesięcznik niemiecki „Neue Filmwelt”, który w ciągu pięciu lat swojego istnienia zyskał dużą popularność nie